

PRZE KROJ

NR 34/35/36 / 27 SIERPNIA 2009 / CENA 4,95 ZŁ

(W TYM 7% VAT)

ANNIE
LEIBOVITZ

JEJ BANKRUKTWO >36

HOUSE KŁAMIE!

>40

SPRAWDZAMY JEGO DIAGNOZY

CZY
MOŻEMY
WYJŚĆ
Z AFGANISTANU?

>16, 30

POLSKI
CENNIK
BRZYDKICH
WYRAZÓW

>22

INDEKS 371424

ISSN 0033-2488

34



0033-248908

SZUKAJ

"PRZEKROJU"
Z 5. CZĘŚCIĄ KOLEKCJI
LEGENDY KINA
CLINT EASTWOOD
"ZŁOTO DLA
ZUCHWAŁYCH"



* wszyscy kłamią



NAD GŁOWĄ KRAŻY LATAWIEC...

Robisz zdjęcie i wrzucasz na Ovi Share – zobaczą je znajomi. Dodajesz opis: „Przyzywam wszystkie latawce”. Jest odpowiedź: „Za kwadrans będę”. Umieszczacie filmy z trikami na YouTube. Inni zobaczą, co ich ominęło. Sprawdzasz pogodę w telefonie: „Jutro też będzie wiało” – to na pocieszenie dla tych, którzy nie mogli przyjść dzisiaj...

ŻYCIE TOCZY SIĘ ONLINE. NOKIA N97. nokia.pl/N97

NOKIA
Nseries

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o **bzdurach**, jakie na temat przyczyn zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow wypisują lub pokazują rosyjskie media. Bo kto daje się sprowokować propagandzie, sam łatwo w propagandę popada. W gazecie „Polska” niejaki Tomasz Pompowski (znany z obnażania rui i porubstwa wśród opozycjonistów lat 80.) twierdzi, że Niemcy i Rosja atakują nas teraz jak w 1939 roku. Wzywa więc do oporu i odporu. Spoczniej!

...o **złudzeniu Lecha Wałęsy**, który wciąż uważa, że powinien startować w przyszłorocznych wy-

borach prezydenckich: „Wystawię się, nawet jeżeli nie będę miał większych szans, ale nikt mi nie powie, że nie próbowałem”. Bo chcielibyśmy pomóc Lechowi Wałęsie, ale on sobie nie da wyjaśnić, że szczególnie groźne są złudzenia co do ludzi. Może więc tak: panie prezydencie, taka porażka obniży cenę pańskich wykładów.

...o **sukcesie angielskiego Kościoła katolickiego**, który w tym roku przyjął rekordową, najwyższą od 10 lat liczbę nowych seminarzystów gotowych zostać księżmi. Bo w tak

złaicyzowanym kraju rzeczywiście jest się czym chwalić, ale u nas tych 38 mężczyzn nie zrobiło by newsa.

...o **sukcesach polskich lekkoatletów** na mistrzostwach świata w Berlinie (skoki, rzuty, pchnięcia, osiem medali, zespołowo – piąte miejsce). Bo zainteresowani tym sportem już wszystko wiedzą, już ochłonęli i wytrzeźwiali, niezainteresowani i tak są niezainteresowani, a my ukazujemy się raz na tydzień (a czasem i rzadziej).

...o **porażce brytyjskiej grupy wydawniczej Guardian Media Group**, która

poniosła w zeszłym roku 90 milionów funtów straty, z czego trzecia część to efekt ryzykownych transakcji walutowych. Bo ich strata to ich problem, choć dość żałośnie brzmi tłumaczenie w oficjalnym komunikacie szefów grupy, że niefortunny fundusz „jest zarządzany przez wysoko wykwalifikowanych specjalistów”. Polecamy Jacka Kurskiego – on potrafi wyjaśnić każdą wpadkę znacznie zabawniej.

...o **polskiej polityce** i politykach. Bo najogólniej mówiąc, to porażka, której najbardziej wykwalifikowany specjalista nie zdoła usprawiedliwić.

Szczerze słowa katolika

Od pedziów nie biorę. Nie wezmę. Brzydzą się was. To może być zahivione



* **Wojciech Cejrowski**, kiedy w trakcie Parady Bosych Stóp organizowanej w Olsztynie członkowie Kampanii przeciw Homofobii chcieli mu wręczyć książkę na temat zabezpieczania się przed zarażaniem wirusem HIV

Nieszczere słowa polityka

Do dziś nie potrafimy przekonać opinii publicznej i mediów, że ten rząd naprawdę coś robi



* **Janusz Palikot**, twierdząc, że o rządzie nie mówi się dobrze. Niedawno zaprezentowano sondaż, z których wynika, że Platforma cieszy się 48-procentowym poparciem

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

Podobno W. Brytania i Francja udzielił Polsce gwarancji poparcia w sporze o przyczynę wybuchu II wojny światowej.

ZOBACZ PRZE KROJ

16

POLSKA MISJA

Gdy w Afganistanie ginie polski żołnierz, w kraju wybucha awantura: po co tam jesteśmy?



FOT. DAMIAN KRAMSKI/AG. NA OKŁADCE: FOT. PLANET PHOTOS/MEDIUM

PRZED WSZYSTKIM

- 6 | **Komentarze**
Pawła Moskalewicza
i Jacka Sieradzkiego

PRZEKRÓJ TYGODNIA

- 8 | **Powiększenie**
Katastrofa w rosyjskiej
hydroelektrowni
12 | **Kraj**
13 | **Świat**
14 | **Biznes**

WYDARZENIA ŚWIAT

- 16 | **Afganistan** – po co ta wojna?
20 | **Słowak, Węgier dwaj wrogowie**
– o nowej ustawie językowej

WYDARZENIA KRAJ

- 22 | **Ta zniewaga kary wymaga!**
– ile kosztuje obrażanie innych
26 | **Chuchamy** na przyszłych
inżynierów, a tych i tak brak
27 | **Dlaczego tak drogo?** Czyli skąd
się biorą ceny

LUDZIE

- 30 | **Najsztub** pyta Romana
Kuźniara, jaki powinien być
nowy, sensowny cel misji NATO
w Afganistanie
34 | **Tomasz Łubieński**: „Oficjalna
pamięć” Września ’39 jest trochę
zafalszowana
36 | **Annie Leibovitz** – sztuka
cenniejsza niż złoto (ale mniej
cenna niż kredyty)

CYWILIZACJA

- 40 | **Przypadki doktora House’a**
44 | **Metamateriały**: czapka niewidka
to nie bajka
46 | **Korzystaj**

WAKACJE Z „PRZEKROJEM”

- 48 | **Izolujemy się od cywilizacji**
w Górach Izerskich i oglądamy
jej skutki w Czarnobylu

KULTURA

- 54 | **Czego nie wiesz o wieszczu**
w 200. rocznicę urodzin
Juliusza Słowackiego
58 | **Film**: Sieroty po „Sierocińcu”
60 | **Komiks**: „Życie w obrazkach”
61 | **Książki**: Michaśka zawodzi
62 | **Muzyka**: Speech Debelle
da czadu

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 3 | **W tym tygodniu** nie piszemy
64 | **Rozmaitości** z krzyżówką, jolką
i felietonami
67 | **Stopklatka**
3, 6, 64, 66 | **Raczkowski**: Rysunki

PROSTUJEMY. W tekście „33 blogi warte uwagi” („Przekrój” nr 29/2009) opisaliśmy Tomasza Łysakowskiego jako redaktora „Kultury Popularnej”. Powinniśmy dodać: byłego redaktora • Do tekstu „Kup dom europośta” („Przekrój” nr 31/2009) wkradł się błąd. Deklarowany w oświadczeniu majątkowym dom eurodeputowanej, profesor Leny Kolarskiej-Bobińskiej ma 200 metrów kwadratowych, a nie jak podaliśmy – 290. **Zainteresowanych przepraszamy.**

LEGENDY KINA

CLINT EASTWOOD

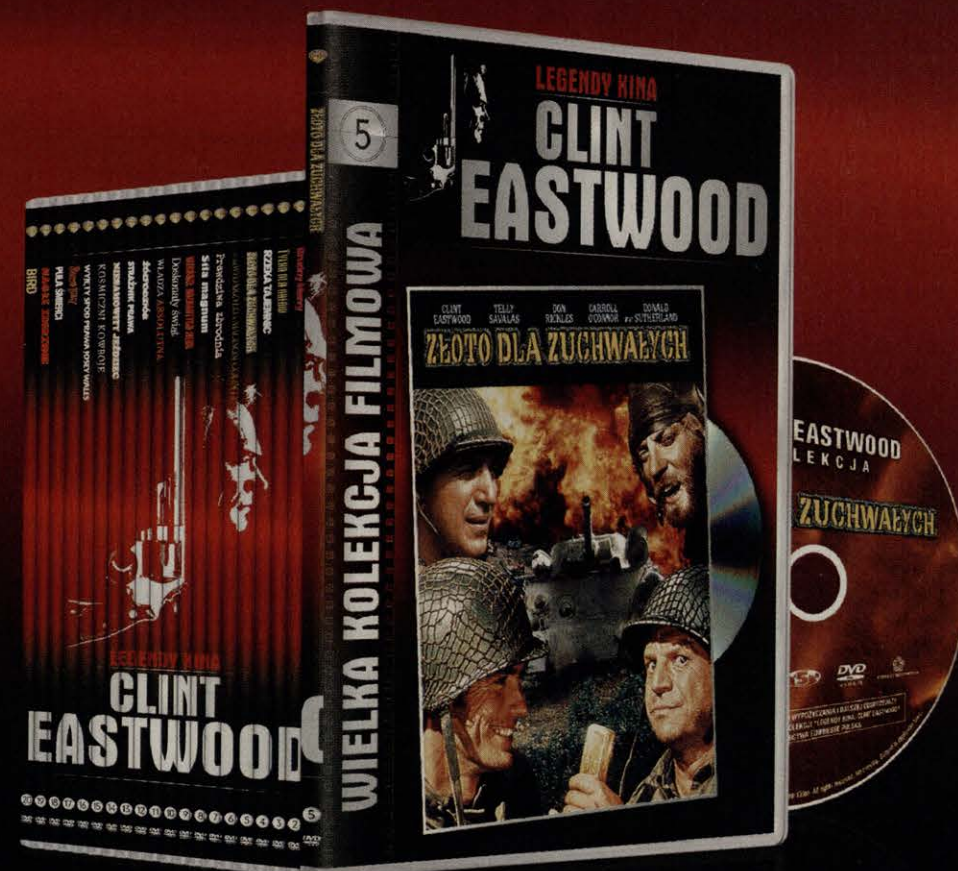
KOLEKCJA 20 FILMÓW CLINTA EASTWOODA
JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH AKTORÓW I REŻYSERÓW HOLLYWOODZKICH

5. część kolekcji **ZŁOTO DLA ZUCHWAŁYCH**

JUŻ W SPRZEDAŻY

z tygodnikiem **PRZE KROJ**

Pełne akcji i humoru kino o żołnierzach, którzy odkryli, że na wojnie można się nieźle wzbogacić. W rolach głównych: Clint Eastwood, Telly Savalas, Don Rickles, Carroll O'Connor oraz Donald Sutherland.



© 2009 Warner Bros. Entertainment Inc. Distributed by Warner Home Video. All Rights Reserved.

Kolejne filmy z kolekcji co 2 tygodnie w kioskach.

Szczegóły i prenumerata na www.przekroj.pl



Wycinanie Brzozy

Jacek Sieradzki

PECH TEATRU NOWEGO W ŁODZI POLEGA NA TYM, ŻE OBECNY I Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Jerzy Kropiwnicki lubi teatr. Co gorsza – uważa, że się na nim zna. Ceni teatr prosty, respektujący wartości i szanujący gusta masowej widowni. Co prawda musiał zgodzić się na zatrudnienie jako dyrektora artystycznego bezpartyjnego reżysera, ale to nie znaczy, że pogodził się z jego niesłusznymi poglądami na sztukę. Na szczęście partia ma jeszcze coś do powiedzenia.

Partia ma w teatrze przede wszystkim Dyrektora Naczelnego, ignorantę w kwestiach merytorycznych, za to lojalnego realizatora linii KW. Cóż prostszego niż wyrzucenie najbliższego współpracownika niesłusznego dyrektora, a w jego miejsce mianowanie Wypróbowanej Towarzystki frontu walki o kulturę, która pryncypialnie skrytykuje działalność nowego zwierzchnika: taki teatrzyk to wy sobie możecie, Brzoza, robić za własne pieniądze; masę pracującą Łodzi i Pabianic potrzebują innej sztuki. I partia im ją da.

Gdy zaś w wyniku tej akcji zrobi się szum, I Sekretarz zarządzi w teatrze referendum: jesteście za Bezpartyjnym Artystycznie czy przeciw niemu. Ponieważ zespół artystyczny zbojkotuje referendum, wynik będzie najzupełniej słuszny: większość urzędników i technicznych opowie się przeciw. Wtedy przemówi I Sekretarz: zdrowe siły narodu dały odpór paniczykowi z Warszawy.

Najgorsza w tym wszystkim jest beczność. Nawet nie chamskie rozwalenie ciekawie rozwijającej się sceny. To się zdarza – u nas i w świecie – że niezależny artysta konfliktuje się z władzą finansującą jego działalność. Ci, którzy w tej sprawie zabrali głos – ludzie sztuki, także opozycyjni politycy – jednomyślnie uznali działanie prezydenta Kropiwnickiego za skandal, jednocześnie doceniając dotychczasową pracę Brzozy. Łódzki kacyk zignorował ich opinię. Czy zapłaci za to jakąś cenę? Zależy od tego, z jaką siłą dotrze do ludzi to, że przyzwoity niegdyś antykomunista z pełną becznością wykonał akcję metodami kliszków, łukaszewiczów i reszty hołoty od kultury. A my mogliśmy się temu jedynie becznie przyglądać. Jak wtedy. □



WIECIEJ OBRAZKÓW NA WWW.PRZEKROJ.PL

Pecunia czasem olet

Paweł Moskaiewicz



PO LUDZKU ROZUMIEM DOKTORA STANISŁAWA Pileckiego*, który odmawia badania niedomitych, przykro pachnących pacjentów. To, że wybrał zawód związany z niesieniem pomocy, nie oznacza jeszcze, że musi wykonywać go w koszmarnych warunkach. Przeciwnie, kruczata na rzecz czystości, której tak bardzo brakuje nie tylko w szpitalach, ma swój sens i może nawet budzić sympatię. Co więcej, można spokojnie przyjąć, że czystość nikomu jeszcze (a zwłaszcza choremu) nie zaszkodziła.

Jednocześnie publiczne wystąpienie bydgoskiego lekarza – całkowicie stawiające na głowie starannie pielęgnowany mit o pełnej bezwarunkowego poświęcenia służbie zdrowia – pokazuje ogrom niezrozumienia i niechęci, jaki przez ostatnie lata wyrósł pomiędzy lekarzami i pacjentami w Polsce. Oczywiście tak jak wśród tych pierwszych są wspaniali, pełni poświęcenia ludzie, tak wśród tych drugich są fletuchy, którym nie przeszkadza, że ostatnie mycie zaliczyli tydzień przed wizytą u lekarza.

Problemem jednak jest generalna filozofia całego systemu publicznej opieki zdrowotnej w Polsce, w którym pacjent jest po prostu numerem ewidencyjnym, za który zapłaci NFZ, a jakkolwiek kontrola jakości opieki medycznej nie istnieje, podobnie jak nie ma żadnych bodźców skłaniających tak zwany personel do wykazania życzliwości, empatii czy szacunku.

Niedawno miałem okazję kilkakrotnie obserwować codzienną pracę polskich szpitali, do których trafiali rozmaici członkowie mojej rodziny. Ponurych anegdot starczyłoby na kilka stron, wystarczy wspomnieć, że w cenionym szpitalu mojej częściowo sparaliżowanej ciotce po wylewie wściekła pielęgniarka zagroziła w nocy, że „jak pani będzie tak dzwonić tym dzwoniem (do wzywania pomocy), to go po prostu odłączymy, bo też kiedyś musimy spać”. Albo że w innej, równie prestiżowej placówce na oddziale ginekologicznym pacjentki do badania ustawia się na korytarzu po 10. Ostatnia ma pecha, czeka nawet trzy godziny. Nie mogłaby w łóżku? Nie, bo jakby tak każdą oddzielnie wołał, to doktor musiałby czekać...

To nie jest problem pojedynczej chomowatej pielęgniarki czy aroganckiego lekarza. Takie sytuacje produkuje system braku kontroli i całkowitej władzy personelu medycznego nad pacjentem. Dlatego konieczne jest wprowadzenie w publicznej służbie zdrowia racjonalnego modelu oceny jakości usług przez pacjentów. Żeby lekarze i pielęgniarki wiedzieli, że ich wynagrodzenie związane jest także z ludzkim traktowaniem chorych. Taka reforma może zmieść doktora Pileckiego – ale do brzozy, że zaczął tę dyskusję. □

* Sześć klinik medycyny nuklearnej z Bydgoszczy

LATO WSZĘDZIE

ul. SŁONECZNA

Zalotny uśmiech, gofry z dżemem, impreza na plaży, drink z palemką, święty spokój, gorący piasek, czereśnie prosto z drzewa, chatka w lesie, oscypki od gaździny, noce na molo, opalone dziewczyny...

Takie lato tylko w RMF FM!

RMF fm

MUZYKA NAJLEPSZA
POD SŁOŃCEM

PRZEKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elle

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 25 25, FAKS (0-22) 584 25 21, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Jacek Kowalczyk **ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** Bartek Chaciński, Paweł Moskaiewicz, Tomasz Plata **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gęździorska, Marcin Pietsch

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Myślik **SEKRETARIAT:** Anna Grzywa, tel. 584 25 25 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, Ola Salwa; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski, Marcel Andino Velez **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Paweł Moskaiewicz (szef), Agnieszka Fiedorowicz, Milena Rachid Chehab, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Judyta Sierakowska, Krzysztof Szczepaniak, Anna Szulc, Paweł Wiczeorek; stale współpracuje Piotr Najstut **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (szef), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniczko-Czeczott, Łukasz Wójcik **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Wojciech Mikołusko, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pietsch **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Władysław Buchner, Piotr Gidlewski, Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski, stale współpracuje Bartłomiej Frączyk **FOTODYSC:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krzela, Olga Piłńska, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolok, Marcin Zegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok, tel. 584 25 61 **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meet

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PRZEDSIĘWZIĘCIA: Zbigniew Nagierała **WICEPREZES WYDAWNICTWA I DYREKTOR WYDAWNICZY „PRZEKROJU”:** Ewa Redel-Bydlowska **DYREKTOR FINANSOWY:** Paweł Satkowski **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Alicja Modzelewska **ZASTĘPCA DYREKTORA ZARZĄDZAJĄCEGO:** Izabela Bochenek **DYREKTORZY ARTYSTYCZNI WYDAWNICTWA:** Elżbieta Strzałka-Zochowska i Bogdan Zochowski, Marek Knap

PUBLIC RELATIONS: Ewa Siniarska **DYREKTOR BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Agnieszka Bieniek **Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Małgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz

PROMOCJA „PRZEKROJU” promocja@przekroj.pl, Magda Kotowska – junior product manager, tel. 584 22 95, Katarzyna Brzozowska, tel. 584 25 74; **BIURO REKLAMY „PRZEKROJU”:** reklama@przekroj.pl, Małgorzata Golba – dyktant

DYREKTOR PRODUKCJI: Danuta Kamińska **KIEROWNIK PRZYGOTOWAŁNI:** Paweł Szpygiel **DRUK:** Quad Winkowski **BIURO OBSŁUGI KLIĘNTA** oraz **PRENUMERATA** – informacje, zamówienia, reklamacje, tel. (0-22) 584 22 22 (pn.-pt., godz. 8-18), faks (0-22) 584 22 32, bok@edipresse.pl **PRZECZ POCZTĘ** PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE URZĘDY POCZTOWE W TERMINIE NA IV KWARTAŁ 2009 R. DO 25 SIERPNIA BR. A WŁAŚCIWE DO KÖNCA MIESIĄCA. WPLATY NA PRENUMERATĘ SĄ PRZYJIMOWANE BEZ POBIERANIA DODATKOWYCH OPŁAT. MOŻNA RÓWNIEŻ ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ NA WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA, HTTP://WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA. **PRZECZ RUCH SA** – RUCH SA

prenumerata krajowa – 0 804-200-600, prenumerata zagraniczna – 022 53-28-816; 022 53-28-823

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZAŚRZĘGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH



Powyżej zaznaczono fragment konstrukcji, w którym doszło do katastrofy. Na szczęście nie pękła tama. Jedną z wersji przyczyn tragedii: po remoncie jednej z 10 turbin zbyt szybko puszczono przez nią wodę



Powiększenie

Hydroelektrowstrząs

WSTRZĄŚNIĘTA JEST CAŁA ROSJA, CHOCIAŻ NA KATASTROFĘ ZANIEDBANEJ ELEKTROWNI ZBIERAŁO SIĘ OD LAT. ALE BIORĄC POD UWAGĘ STAN CAŁEGO KOMPLEKSU, W TYM NIESZCZĘŚCIU BYŁO DUŻO SZCZĘŚCIA

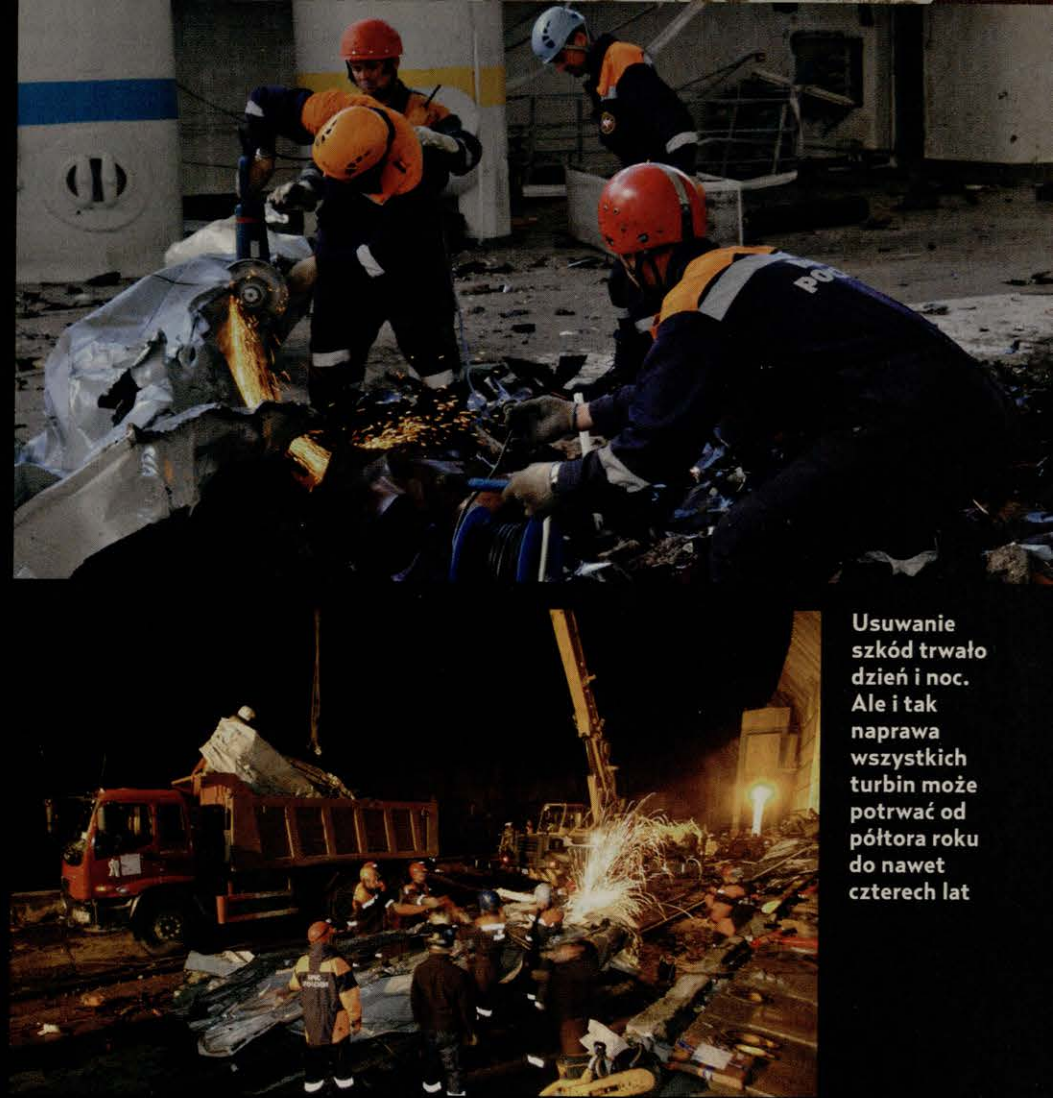
Nieszczęściem jest bez wątpienia to, że na skutek eksplozji zalanej wodą turbiny zginęło 69 osób. Zaraz po katastrofie premier Rosji Władimir Putin przyjechał do Sajano-Szuszenskiej Elektrowni Wodnej z dekretem nakazującym wypłatę po milionie rubli (niecałe 92 tysiące złotych) rodzinom wszystkich ofiar – ale nie zmienia to faktu, że żaden z pracowników zakładu, których uznano za zaginionych, nie ocalał.

Nieszczęściem jest też to, że największa elektrownia wodna Rosji – i szósta co do wielkości na świecie – stanęła. Naprawa może potrwać cztery lata, a to ma znaczenie, bo gigant dostarczał jedną czwartą energii dla całej Syberii. A na głębokiej prowincji kraju, który bogacił się przez ostatnią dekadę, eksportując ropę i gaz, energia wciąż jest towarem deficytowym. Co z tego, że do zasilanych przez hydroelektronię sajano-szuszenską zakładów aluminium w Sajanogorsku awaryjne dostawy prądu wznowiono po dwóch dobach. Produkcja glinu i tak może się zmniejszyć o pół miliona ton, a mieszkańcy Syberii szykują się na ciężką zimę. Władze, aby zapłacić lukę po syberyjskim gigancie, zapowiadają przyspieszenie budowy hydroelektrowni na rzece Angara. Jednak opozycyjne Radio Echo Moskwy już wyliczyło, że kraj czeka podwyżka cen energii elektrycznej.

Kolejne nieszczęścia? Do Jeniseju wyciekło 40 ton oleju, który utworzył plamę o długości 25 kilometrów. 400 ton hodowanych w rzece pstrągów zdechło, a skali skażenia ekologicznego nikt jeszcze nie mierzy. To wszystko namacalne skutki widoczne tydzień po katastrofie. →



Po wybuchu pierwszej turbiny pękł dach i woda zalała całą maszynownię. Poniżej: Stan sprzed tragedii



Usuwanie szkód trwało dzień i noc. Ale i tak naprawa wszystkich turbin może potrwać od półtora roku do nawet czterech lat

SAM PREZYDENT DMITRIJ MIEDWIEDIEW PRZYZNAŁ PO KATASTROFIE, ŻE ROSYJSKA TECHNOLOGIA JEST ZACOFANA I POTRZEBUJE NATYCHMIASTOWEJ MODERNIZACJI

→ Szczęście natomiast widać na zdjęciach: tama, długa na kilometr, wysoka na ćwierć kilometra, nie pękła. Tym samym wypełniający cały Wąwóz Sajajski sztuczny zbiornik wodny o objętości 30 kilometrów sześciennych i powierzchni sześciu jezior Mamry nie runął na okoliczne wioski, nie utworzył potężnej fali powodziowej na Jeniseju i nie zalał okolicy. A była taka obawa. Gdy w hydroelektrowni rozległ się huk pękających turbin, ludzie rzucili się do ucieczki. Wyjeżdżali na okoliczne wzgórza. Ewakuowali dobytek.

Nie zdarzyła się również spektakularna katastrofa w żadnym z dziesiątków innych zakładów przemysłowych, hut, tam czy elektrowni, które jako relikty socjalizmu działają dziś w całej Rosji. – Ich zarządcy są niepewni swojej przyszłości, dlatego wyciągają tyle pieniędzy, ile się da – ostrzegła ekspertka Ośrodka Studiów Wschodnich Iwona Wiśniewska w rozmowie z na-

mi już dwa lata temu. – Sektor naftowy, niklowy i gazowy pracują na najwyższych obrotach, a nikt nie myśli o inwestycjach czy modernizacji.

Tymczasem zakłady takie jak hydroelektrownia na Jeniseju aż się proszą o konserwację. Sajano-suszeński gigant zaczął powstawać 41 lat temu. Jeszcze nie był gotowy, gdy doszło w nim do pierwszej awarii. W maju 1979 roku wiosenna fala wody zalała pierwszą uruchomioną turbinę. Szkody naprawiano ponad miesiąc. Potem do wypadków dochodziło parę razy. Ostatnio 17 sierpnia kilka minut po ósmej rano – spiętrzona fala rozsadziła turbinę numer dwa. Wybuch uszkodził pozostałe turbiny i zniszczył sufit, w rezultacie wszystkie 10 turbin i cała maszyneria zostały zalane. Co spowodowało początkowe spiętrzenie wody? Na razie nie wiadomo.

Jest jeszcze jeden skutek katastrofy, który wskazuje jej wagę. Sam prezydent Dmitrij Miedwiediew odwa-

żył się po tragedii przyznać, że Rosja pozostaje daleko w tyle za Zachodem w rozwoju technologii, a jej infrastruktura wymaga natychmiastowej modernizacji. Dobrze, że głowa państwa ma tego świadomość. Lepšie to, niż liczyć na szczęście.

Joanna Woźniczko-Czczcott

Premier Władimir Putin obiecał rodzinom ofiar po milionie rubli



Po tygodniu od katastrofy wszystkich zaginionych uznano za zmarłych. Ekipa ratunkowa wydobyła ciała 69 osób. Poszukiwania 6 kolejnych trwały

KRAJ

WF po nowemu

Od września zmieniają się lekcje wychowania fizycznego

OD NOWEGO ROKU SZKOLNEGO dwie z czterech lekcji wychowania fizycznego będą prowadzone nie według ogólnego programu, ale tego, co klasy ustalą z nauczycielami. By realizować program zgodny z zainteresowaniami uczniów, szkoły mogą działać same, na przykład wymyślać wycieczki rowerowe albo współpracować z lokalnymi obiektami sportowymi. – *iggy*

Ministerstwo potwierdza Madonnę

Konferencja żart czy genialny PR?

MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA Wspólnota Demokracji z sekretariatem przy polskim MSZ organizuje 13 września konferencję, która ma być manifestacją solidarności z kobietami w Iranie. Planowane są dwa 45-minutowe panele, na które – jak zapowiedziano – miałyby przybyć Angela Merkel, Michelle Obama, Carla Bruni i Madonna. Jak sprawdziliśmy, w ambasadach o przyjeździe polityczek nic nie wiadomo. W firmie Sony Music: śmiech. Ale MSZ twierdzi, że: „Sekretariat jest w procesie uzyskiwania potwierdzeń od uczestników”. – *mil*

Jak zakaz, to zakaz

Pijakom na rower wstęp wzbroniony

CZY DOROSŁEJ OSOBE MOŻNA zakazać jazdy rowerem, skoro do jego prowadzenia nie potrzeba żadnego dokumentu? Sąd Najwyższy, rozpatrując tę wątpliwość, orzekł, że tak. Do tej pory jasny był tylko status osoby posiadającej prawo jazdy – w przypadku złapania delikwenta na pedałowaniu na gazie tracił on prawo do kierowania wszelkimi pojazdami. Teraz już wiadomo, że zakaz ten sąd może wyznaczyć także osobie bez prawa jazdy. Trafi ona do rejestru kierowców. Za niezastosowanie się do zakazu grozi jej kara pozbawienia wolności do lat trzech. – *mil*



Nieoczekiwana zmiana miejsc

W tym pociągu jeden wagon jest pechowy

POCIĄG RELACJI Warszawa–Kijów to król papierosowej kontrabandy. Celnicy znajdują w nim codziennie kilkadziesiąt tysięcy nielegalnych paczek papierosów. Na mocy porozumienia PKP Intercity z Izba Celną w Białej Podlaskiej celnicy wybierają najbardziej podejrzany wagon i odczepiają od składu do dokładniejszego przeszukania. Pasażerowie proszeni są wówczas o przejście do innego wagonu. A jeśli za miejscówkę zapłacili, a miejsc już nie ma, mogą jedynie złożyć w PKP reklamację. – *kom*

DOBRA ZABAWA



Poduszkowcami latali

W ostatni weekend nad Zalewem Zegrzyńskim odbyły się pierwsze w Polsce mistrzostwa Europy poduszkowców. W Polsce poduszkowce na własność ma raptem kilkanaście osób – koszt jednego to minimum 55 tysięcy złotych. Ale na Zachodzie są one niezwykle popularne, niektórzy nawet dojeżdżają nimi

do pracy (dopływają, rozpędzają się do setki w cztery i pół sekundy). Dzięki ogromnemu wentylatorowi, który zasysa powietrze z otoczenia i wtłacza je pod spód pojazdu, mogą „latać” po każdej płaskiej powierzchni. Pojazd unosi się na wysokości 20 centymetrów. Polskie zawody wygrał Włoch. – *you*

BEZPIECZENSTWO IGOR RYCIĄK

Lądowiska na wagę życia

W każdym wielkim polskim mieście ma powstać lądowisko dla śmigłowców ratunkowych. Na Zachodzie to standard, który pozwala ocalić życie ludzi

JEST 11 MARCA 2004 ROKU, CZWARTEK. Podczas porannego szczytu w pociągach dojeżdżających do centrum Madrytu eksploduje 10 ładunków wybuchowych podłożonych przez Al-Kaidę. Ginie 191 osób, a ponad 1,8 tysiąca jest rannych i wymaga transportu do szpitala. Żadne miasto na świecie nie dysponuje wystarczającą liczbą ambulansów, by podjąć temu zadaniu. Ale w śródmieściu hiszpańskiej stolicy są wyznaczone miejsca, gdzie mogą siadać śmigłowce. W kilkadziesiąt minut ranni drogą powietrzną trafiają do – często odległych – szpitali.

– Gdyby podobna sytuacja zdarzyła się w Warszawie, doszłoby do niewyobrażalnego wręcz chaosu – mówi starszy brygadier Marian Sochacki, główny specjalista ratownictwa wysokościowego Komendy Głównej Państwowej Straży Pożarnej. – Śmigłowce nie miałyby gdzie wylądować, a transport tak wielkiej liczby rannych dostępnymi w mieście karetkami zająłby kilkanaście godzin. Niestety, tak samo jest we wszystkich dużych miastach w Polsce – dodaje.

Dlatego straż pożarna chciałaby, by każde duże polskie miasto miało w ścisłym centrum wyznaczone lądowisko dla śmigłowców. W sprawę zaangażowały się już Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Instytut Lotnictwa. Prace nad ustaleniem miejsc na awaryjne lądowiska zaczęły się we wrześniu. Wiele zależy od dobrej woli samorządów. – Takie lądowisko to nie musi być ogrodzony i zamknięty teren. Wystarczy, że będzie odpowiednio oznakowane i że będzie na nim obowiązywał zakaz parkowania samochodów. Za granicą urządza się je nawet na niskich budynkach, gdzie w miarę łatwo



Rząd zakupił ostatnio 25 nowoczesnych maszyn, każda waży jednak prawie 3 tony

można przenieść rannych – wyjaśnia brygadier Sochacki. W Polsce brakuje nawet lądowisk na dachach drapaczy chmur, gdzie mogłyby siadać śmigłowce w czasie akcji ewakuacyjnych prowadzonych w wieżowcach. Na przykład w ścisłym centrum Warszawy jest tylko jedno lądowisko – na biurowcu Telekomunikacji Polskiej, z dopuszczalnym nacięciem dwie i pół tony*.

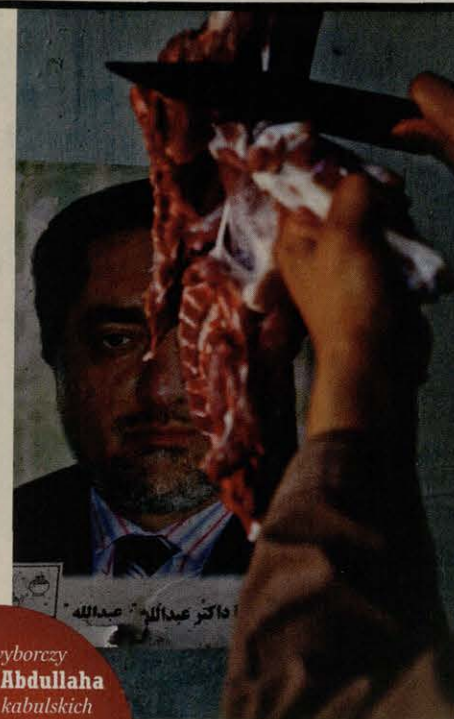
Wybory w Afganistanie

WYGRALI TALIBOWIE

WYBORY W AFGANISTANIE ZOSTAŁY SFAŁSZOWANE – twierdzi główny przeciwnik obecnego prezydenta Hamida Karzaja, lekarz i były szef afgańskiej dyplomacji Abdullah Abdullah. Ludzie Karzaja mieli mu zapewnić tysiące fikcyjnych głosów w południowej części kraju, gdzie większość wyborców nie poszła głosować w obawie przed zemstą talibów.

Mimo że sztab prezydenta już ogłosił zwycięstwo, większość obserwatorów uważa, że zmiana władzy w Afganistanie staje się coraz bardziej realna. Jeśli dojdzie do drugiej tury, szanse Abdullaha wzrosną, bo dostanie poparcie od większości z 30 pozostałych kandydatów.

Waszyngton nieoficjalnie popiera Abdullaha, bo uważa, że Karzaj uzależnił się od korumpujących jego administrację watazków wojennych, którzy opiumowym handlem finansują talibów. Ale ważniejsze dla USA i NATO jest uniknięcie drugiej tury. Przeciąganie wyborów to dalszy paraliż władzy będący na ręce rebeliantom, zawieszenie wielomilionowych inicjatyw Baracka Obamy mających ukrócić korupcję i usprawnić programy pomocowe oraz – przede wszystkim – eskalacja etnicznych napięć między popierającym Karzaja pasztuńskim południem a stojącą za Abdullahem tadżycko-uzbecką północą. Jak najbardziej możliwy jest najczarniejszy scenariusz, czyli wybuch kolejnej wojny domowej, twierdzi ekspert cytowany przez „The New York Times”.



Plakat wyborczy Abdullaha Abdullaha w jednym z kabujskich sklepów mięsnych. Najpoważniejszy rywal Hamida Karzaja oskarża go o zarznięcie demokracji

W tej sytuacji jedynymi prawdziwymi zwycięzcami wyborów są talibowie. To, jak wielka jest ich siła oddziaływania na południu, pokazały puste lokale wyborcze. Human Rights Watch twierdzi, że ludność w prowincjach Kandahar, Helmand czy pilnowanej przez Polaków Ghazni została tak zastraszona, że frekwencja wyniosła mniej niż 10 procent. Według HRW dzień wyborów był jednym z najkrwawszych od początku wojny. – *mac*

O polskiej misji w Afganistanie czytaj również na s. 16 i 30.

LAMPEDUSA

WŁOSI ODPYCHAJĄ NIELEGALNYCH

INTERNETOWA GRA „Wyrzucić nielegalnego imigranta” sprowadziła groźmy na rząd Silvia Berlusconi nie tylko ze strony włoskiej opozycji, ale także wieńców państw świata. Zabawę, w której gracz kliknięciem myszki odpycha zbliżające się do włoskiego wybrzeża łodzie z imigrantami, wymyślił syn szefa Ligi Północnej Renzo Bossi. Jej rozpowszechnianie za pomocą Facebooka zbiegło się w czasie z kolejną tragedią na Morzu Śródziemnym. Na łodzi dryfującej w kierunku włoskiej wyspy Lampedusa zmarło z wycieńczenia 70 imigrantów z Erytrei. Pięciu ocalonych mówi, że przepływające obok jednostki mimo prób nie udzieliły im pomocy. Według nieoficjalnych statystyk w ciągu 20 ostatnich

lat u wybrzeży Europy utonęło 14 tysięcy nielegalnych imigrantów.

Antyimigracyjna Liga Północna w przeszłości domagała się odłączenia północnych Włoch od reszty kraju, a dziś jest jednym z koalicjantów w rządzie Berlusconi. Sam premier jawnie buduje polityczny kapitał na tym, że duża część społeczeństwa uważa imigrantów za największą bolączkę Włoch. Nowe prawo imigracyjne – zgodnie z którym nielegalny imigrant może zapłacić nawet 10 tysięcy euro grzywny, a wynajmujący mu mieszkanie trafić na trzy lata za kratki – ostro krytykują organizacje praw człowieka i Watykan. – *mac*



Imigranci z Afryki eskortowani przez włoską straż na Sycylię. Udało im się, bo przeżyli

KTO ZOSTAŁ JEDNYM Z DYREKTORÓW MUZEUM KOLEI ŻELAZNYCH W YORK? SZESZCZOLATEK. NIEZŁE KOLEJE...

ŚWIAT

W DUŻYM SKRÓCIE

Prezydent non grata

Słowackie władze nie zgodziły się na wpuszczenie prezydenta Węgier László Sólyoma, który miał uczestniczyć w ceremonii odsłonięcia pomnika pierwszego króla Węgier Stefana I Świętego w Komarnie. Mimo że wizyta miała być prywatna, zaprotestował przeciwko niej premier Słowacji Robert Fico. – To krok, którego nie da się wyjaśnić – oświadczył oburzony Sólyom. Ten krok da się wyjaśnić. Robimy to na stronie 20.



Homeopatia szkodzi

A przynajmniej nie może być postrzegana jako skuteczny lek w takich chorobach, jak: gruźlica, biegunka dziecięca, grypa, malaria czy HIV. Takie oświadczenie wydała Światowa Organizacja Zdrowia w odpowiedzi na apel naukowców z Wielkiej Brytanii i Afryki. Walczą oni z propagowaniem homeopatii w krajach rozwijających się i przekonują, że promowanie jej jako antidotum na groźne choroby szkodzi.

Doktoraty za łapówki

Stu profesorów z uczelni w całych Niemczech jest podejrzanych o przyjmowanie kasy za ułatwianie uzyskiwania doktoratów. Naukowców miał korumpować Instytut Doradztwa Naukowego z siedzibą w Kolonii, gdzie toczy się śledztwo. Za zdobycie dyplomu Instytut pobierał od 4 do 20 tysięcy euro.

Nie da się olać rabinów

Jak zniechęcić bywalców okolicznych barów do sikania na nasz budynek? Przed takim pytaniem stanęła rada religijna miasta Łódź pod Tel Awiwem, której gmach sąsiaduje z knajpami. Odpowiedź: wymalować na ścianie symbole religijne i portrety znamienitych rabinów. Metoda zadziałała. Mieszkańcy Łodzi przyznają, że „nie robią tego, gdy rabini patrzą”.

Polityczne daktyle

Zaczął się ramadan, a wraz z nim polityczna wycena egipskich daktyli. Co roku najlepsze owoce otrzymują nazwisko najpopularniejszego lidera. Tym razem przodują daktyle obama (pięć dolarów za kilogram) i superobama. To postępek, bo trzy lata temu najlepsze daktyle nazywały się nasrallah (lider Hezbollahu). Najtańsze są w tym roku awidgory lieberman (szef dyplomacji Izraela) – tylko 36 centów.



BIZNES

Co mówią liczby

5 mld zł

– o tyle według SLD wzbogaciliby się budżet państwa, gdyby zostały zrealizowane postulaty Sojuszu: zniesienie ulg podatkowych dla Kościoła oraz opodatkowania datków składanych na tace. W tym roku z tytułu 1 procentu podatku organizacje pożytku publicznego zebrały 400 milionów złotych.

– kom

Informatyzacja

POLICJANCY WŁASNYM SUMPTEM

STWORZENIE NOWEGO KRAJOWEGO SYSTEMU Informatycznego Policji, czyli bazy, w której gromadzone są wszelkie informacje (także te operacyjne) o przestępcach i przestępstwach, to dziś jedna z najważniejszych potrzeb polskiej policji. Utrzymywanie obecnego, przestarzałego systemu kosztuje około 40 milionów złotych rocznie. Jednak na budowę nowej bazy nie ma pieniędzy. Ale Komenda Główna Policji, by nie zasypiać gruszek w popiele, wymyśliła konkurs na stworzenie projektu – na razie ramowego – nowego KSIP. W konkursie mogą brać udział tylko policjanci (projektować system mogą w czasie wolnym od służby). Nagroda nie jest mała, bo wynosi 20 tysięcy złotych. Gdyby jednak policja zamówiła taki projekt na wolnym rynku, jego koszt wyniósłby przynajmniej kilkaset tysięcy złotych.

– iggy

NFZ daje zarobić

Skoro elektroniczne recepty mają same zalety, to dlaczego Narodowemu Funduszowi Zdrowia tak trudno wprowadzić je do obiegu?

SLUŻBA ZDROWIA AGATA KOMOSA

Zalety e-recepty można wymieniać bez końca. Wraz z nią skończy się dla aptekarzy problem z odczytywaniem lekańskich bazgrołów, a lekarz, widząc w komputerze leki, które przepisał pacjentowi inni specjaliści, nie da mu specyfiku mogącego kolidować z już przyjmowanymi. Ponadto e-recepta ukróci wystawianie lewych recept (dziś są często kserowane) i pozwoli urzędnikom NFZ zwrócić uwagę przepisującemu dużo leków refundowanych lekarzowi, w sytuacji gdy daną chorobę można leczyć taniej. Dlaczego NFZ nie wdraża w życie systemu e-recept? – Wprowadzenie całego systemu planowane jest na 2014 rok – przekonuje Grzegorz Furgal z Centrum Systemów Informatycznych



NFZ przełożył właśnie (już kolejny raz) start programu pilotażowego, który w dwóch powiatach Wielkopolski sprawdziłby, jak działa system e-recept

ce tego, na co chorują Polacy i jakie przyjmują leki, mogą być przecież łakomym kąskiem zarówno dla firm farmaceutycznych, jak i dla ubezpieczycieli – ostrzega Tomasz Korkosz, rzecznik Izby.

Nic więc dziwnego, że unowocześnianiem placówek medycznych (i zarabianiem na nieudolności resortu zdrowia) zajęły się prywatne firmy. Dostarczają oprogramowanie do obsługi

e-recept aptekom i przychodniom (na razie prywatnym). W przychodni z takim oprogramowaniem pacjent dostaje specjalny kod, który podaje w apteczkę, po czym ta wydaje mu odpowiedni lek. Polskie prawo wciąż jednak zabrania wystawiania wyłącznie recept elektronicznych, dlatego przychodnie wręczają pacjentom również recepty tradycyjne (zaletą e-recepty

jest więc dziś głównie to, że nie trzeba od razu wykupywać wszystkich leków).

Pierwszy w Polsce komercyjny system e-recept stworzyła firma Kamsoft, drugi (BEX24) – kilka firm informatycznych. Obsługują już ponad pięć tysięcy placówek. A batalia o zdobywanie kolejnych trwa. Bo ten, kto będzie miał ich więcej, w przyszłości ma większe szanse na wygranie przetargu na obsługę placówek medycznych w całej Polsce. Przegraną będą musieli wówczas zwinąć interes. Ale tego, co do tego czasu zarobią, nikt im nie odbierze.



ANDRZEJ PAŁUCKI
prezydent Włocławka

Czekaliśmy na tę decyzję od lat. Ze strachem, że obecna, zrujnowana do reszty tama puści, a woda w końcu zaleje nasze miasto. Żadne dotychczasowe działania hydrotechników, włącznie z doraźnymi remontami starego stopnia, nie dawały gwarancji, że tama się nie zawali. Teraz Wisła w naszym rejonie jest brzydka, porastają ją wielkie krzaki, a mieszkańcom marzy się, by poruszać się po uporządkowanej rzece turystycznym stateczkiem. W czyste intencje ekologów nie wierzę.



JACEK BOŻEK
szef ekologicznego Klubu Gaja

Tama we Włocławku została kilka lat temu wyremontowana i zabezpieczona. Na tle innych polskich zapór jest jedną z bezpieczniejszych. Budowa oznaczałaby nieodwracalne zmiany na wciąż jeszcze dzikiej, a przez to wyjątkowej Wiśle. Mam wrażenie, że decyzja o budowie tamy ma podłoże polityczne, została podjęta pod naciskiem bezrobotnych od lat hydrotechników i firm, które chcą zarobić wielką kasę. Decyzję o budowie stopnia najpewniej zaskarżymy do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości.

okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej

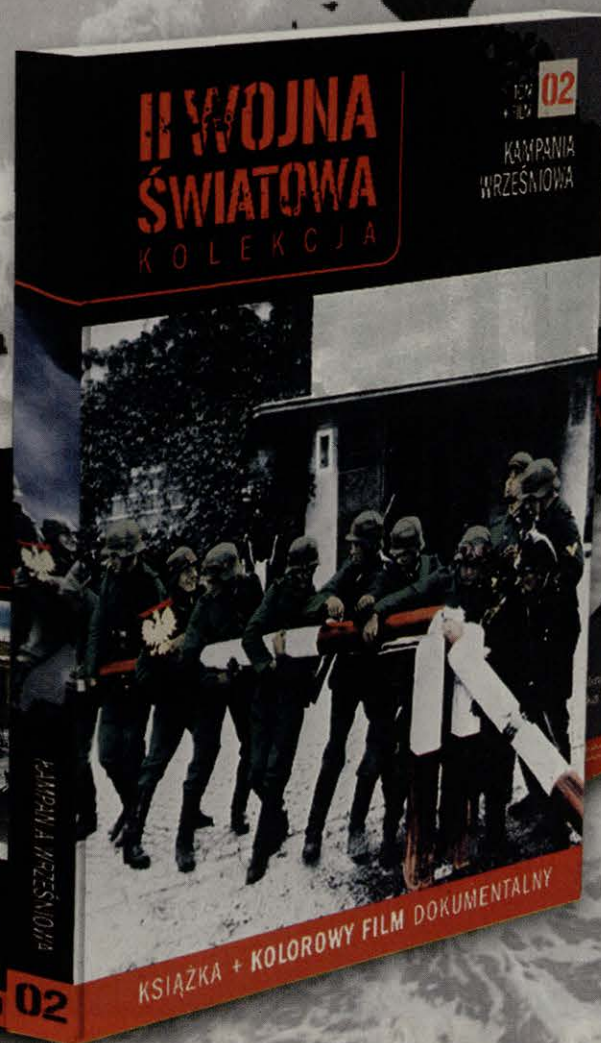
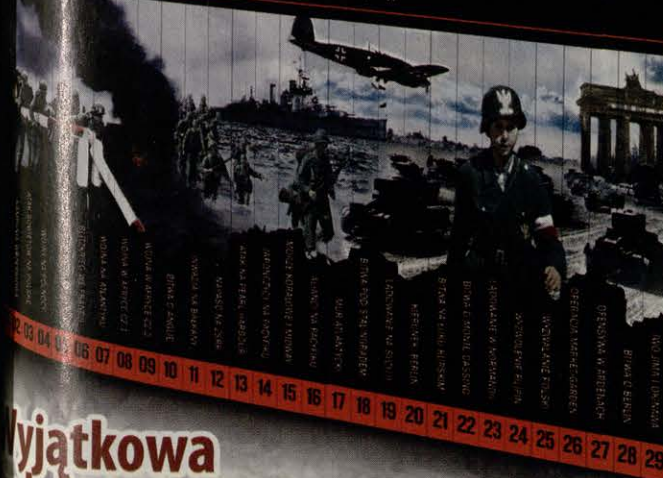
II WOJNA ŚWIATOWA KOLEKCJA

Unikalna
kolekcja
30 książek
z filmami

2. tom + film „Kampania wrześniowa”
już w kioskach!

3. tom + film „Atak Sowietów na Polskę”
już od 10 września!

II WOJNA ŚWIATOWA KOLEKCJA



Wyjątkowa
kolekcja książkowa

Prezentująca najważniejsze fakty i wydarzenia z okresu II wojny światowej.
Do każdego albumu dołączona jest płyta z pokolorowanymi filmami dokumentalnymi.

Szukaj co czwartek w kioskach!

szczegóły i prenumerata: www.kolekcjajojenna.pl

ANKIETA DWA GŁOSY NA JEDEN TEMAT

Stopień niezgody

NOWY SPÓR NA MIARĘ WOJNY O ROSPUDE?

WUBIEGŁYM TYGODNIU KRAJOWY ZARZĄD Gospodarki Wodnej nadzorowany przez Ministerstwo Środowiska podpisał list intencyjny ze spółką Energa SA w sprawie budowy za dwa miliony złotych nowej tamy wodnej na Wiśle. Czy nowa tama to dobry pomysł?

– ana



Ewakuacja rannego szeregowca brytyjskiej armii. Prowincja Helmand, 3 sierpnia 2007. Żołnierze wpadli w zasadzkę. Byli tak blisko talibów, że nie można było użyć wsparcia. Skąd my to znamy?

NASZA CUDZA WOJNA

ZAWSZE GDY W AFGANISTANIE ZGINIE POLAK, MAMY AWANTURĘ. OSTATNIA SKOŃCZYŁA SIĘ DYMISJĄ GENERAŁA I APELAMI O TO, BYŚMY SIĘ STAMTĄD ZABIERALI, BO I TAK NIKT NIE WIDZI NASZEJ OBECNOŚCI. NO TO SIĘ ZABIERZMY. NASZĄ NIEOBECNOŚĆ NATYCHMIAST ZOBACZA

No i jeszcze te braki w wyposażeniu. Żałosna liczba helikopterów wsparcia i apache'ów do ich eskortowania sprawia, że każdego dnia oddziały lądowe tracą czas i ludzi tylko na to, żeby tkwić bez ruchu. Trwonią siłę, motywację i wolę na zabezpieczanie tras konwojów, które muszą zaopatrywać rozsiane wszędzie bazy wypadowe w wodę, amunicję i jedzenie; na wyciąganie pojazdów, które ciągle utykają w rowach, i na organizowanie prowizorycznych lądowisk dla śmigłowców, które mają ewakuować ofiary eksplozji przydrożnych min.

To nie są słowa generała Waldemara Skrzypczaka. To fragment listu anonimowego kapitana Walijskiej Gwardii – batalionu, którego żołnierze giną seriami na południu Afganistanu. List jest pełen goryczy, tak samo jak pełne goryczy były niedawne słowa szefa sztabu generalnego brytyjskiej armii, generała sir Francisza Richarda Dannatta, który na kilka dni przed upływem swojej kadencji po raz kolejny ostro skrytykował rząd za to, że wysłał na wojnę żołnierzy bez odpowiedniego wsparcia.

Opuszczeni i sfrustrowani

W październiku zeszłego roku w Kandaharze jako reporter akredytowany przy brytyjskim kontyngencie rozmawiałem z wysokim rangą oficerem sztabu Regionalnego Dowództwa „Południe”. Gdy po 23 minutach oficjalnego pitu-pitu o talibach, taktyce i wyzwaniach wyłączyłem mikrofon, oficer powiedział: „Cieszę się, że nie pytałeś, po co tu jesteśmy”. „Po co tu jesteście?” – zacząłem więc dociekać, włączając dyktafon. „Na mikrofon to powiem ci tylko, że pomagamy zaprzęgniętemu rządowi Afganistanu w zaprowadzeniu porządku”. Schowałem więc sprzet do kieszeni i powtórzyłem pytanie. „Nie mam, kurwa, pojęcia. Dwa razy już dostaliśmy tu w dupę. To było w XIX wieku, więc ja tego nie pamiętam. Ale najgorsze jest to, że nasz rząd chyba też nie” – usłyszałem wtedy.

Jeśli była w tym szczypta życzliwości pod adresem premiera Gordona Browna i ówczesnego ministra obrony Desa Browne'a (właśnie rozstawał się wtedy z tym stanowiskiem), to musiała umknąć mojej uwadze. W sąsiedniej prowincji Helmand, najbardziej niebezpiecznej w Afganistanie, nie było wtedy dnia bez ataku na Brytyjczyków. A narażali się jak nikt inny. Podstawowa taktyka polegała na zakładaniu prowizorycznych przyczółków w strategicznych miejscach i na całonocnych pieszych patrolach między kiszlakami (osadami). Przyczółki miały pokazać talibom, że tu już nie mają wstępu, a patrole – lokalnej społeczności, że nie ma czego się bać, bo brytyjska armia czuwa. Najbardziej popularnym pojazdem, którym poruszali się rangersi, był land rover. Samochód równie odporny na ostrzał i eksplozje min jak nasz polski żuk. A wsparcie śmigłowców? Było na tyle symboliczne, że gdy oddział, z którym mieliśmy iść na patrol, został gdzieś w górach zaatakowany przez rebeliantów, jedyne dwa śmigłowce, które Brytyjczycy mieli do dyspozycji, były przez całą noc zajęte zwożeniem rannych i dostarczaniem amunicji. Nie było szans na zabranie dwóch dziennikarzy. Rano okazało się, że powodem zamieszania był zaimprovizowany ładunek wybuchowy, który doszczętnie rozwalil jeden z roverów. Bilans: trzech rannych. Dwóch z nich przypadkowo spotkałem wieczorem. Trzymali się razem, jakby chcieli dodać sobie otuchy. Godzinny pobyt w ambulatorium (opatrunki i zastrzyki) przywrócił ich do fizycznej używalności, ale psychicznie byli zdruzgotani. Dopiero następnego dnia mieli się spotkać z psychologiem. →

→ Pilnujący nas oficer prasowy był w szoku: „Nie do wiary. Dlaczego tu siedzicie, dlaczego nie macie opieki?” – pytał. „Nie wiemy, sir”. Dowiedziałem się wtedy, że trzeci ranny resztę życia spędzi pewnie na wózku. Miał złamany kręgosłup.

Seppuku generała

Na misję w Afganistanie narzekają wszyscy. Także Brytyjczycy. Ale tylko w Polsce awantura o brak właściwego uzbrojenia skończyła się politycznym samobójstwem. Afera zaczęła się od śmierci kapitana Daniela Ambrozińskiego, który na początku sierpnia zginął w zasadzce talibów. Dowódca wojsk lądowych, generał Skrzypczak najpierw skrytykował MON, a potem tę krytykę podtrzymywał, zamiast się z niej wycofać. Można ją podsumować następująco: gdyby Polacy mieli lepsze samoloty rozpoznawcze, udałoby się uniknąć zasadzki, a gdyby nasze śmigłowce Mi-17 miały lepsze uzbrojenie, skuteczniej odstraszyłyby talibów.

Mozna byłoby to skwitować wzruszeniem ramion (narzekania na wyposażenie Polaków w Afganistanie odzywają po każdym poważniejszym incydencie), gdyby nie jedna zasadnicza różnica. Po raz pierwszy na krytykowanie MON odważył się dowódca. I to dowódca szanowany przez wszystkich żołnierzy. – To człowiek legenda – mówi „Przekroju” oficer z II zmiany PKW Afganistan. – Gdy dowodził w Iraku, Amerykanie narzekali, że im w strefie przybywa rebeliantów. A oni po prostu uciekali przed naszymi, bo się bali Skrzypczaka. On musiał wiedzieć, że krytyka ministerstwa jest ostatnią rzeczą, którą robi jako żołnierz. Bo tego się w wojsku nie wybacza.

„Tego się w wojsku nie wybacza” świadczy na korzyść Skrzypczaka. Generał poszedł na całość, wiedząc, że to może się dla niego skończyć dymisją. A gdy jej nie dostał, sam ją złożył. Nie wycofał żadnego z ciężkich oskarżeń, które wysunął pod adresem MON. Że rządzą tam biurokraci, którzy nie znają się na potrzebach wojska i nie potrafią zamówić odpowiedniego sprzętu. Że minister otacza się betonem. Że nikt nie słucha, co mówią dowódcy.

– Nie tylko Skrzypczak, ale i inni generałowie domagali się samolotów bezzałogowych kompatybilnych z amerykańskimi – przypomina Sławomir Petelicki, pierwszy dowódca jednostki specjalnej GROM. – Orbitery, które mamy, w ogóle się do Afganistanu nie nadają, bo mają za mały zasięg. Gdyby nasze dowództwo w Ghazni miało dobry samolot



Transportowy Mi-17 nad głowami polskich żołnierzy w Ghazni. Generał Waldemar Skrzypczak bezzwyczajnie walczył o jego dobrożenie



rozpoznawczy, na pewno wiedziałoby, że w okolicy czają się talibowie. Gdyby Mi-17 miały na pokładzie działka, o zakup których prosił Skrzypczak, byłyby świetnym wsparciem dla osaczonych Polaków.

– Twierdzenie, że samolot bezzałogowy i lepsze działka zapobiegłyby śmierci kapitana Ambrozińskiego, jest ewidentnym nadużyciem – protestuje rzecznik dowódcy operacyjnego, podpułkownik Dariusz Kacperczyk. – Teren został rozpoznany przez amerykańskiego predatora i nie udało się wykryć żadnego ruchu wrogich oddziałów. To była zasadzka, a w takich przypadkach decyduje pierwszych kilkanaście minut. Dowódca patrolu nigdy nie zaczyna od wezwania sił szybkiego reagowania. Najpierw musi się zatroszczyć o własnych żołnierzy, określić, skąd jest prowadzony ogień i gdzie się można przed nim skutecznie ukryć, nie tracąc jednocześnie możliwości obrony.

Według Kacperczyka amerykańskie samoloty, które pojawiły się kilkanaście minut po wezwaniu, nie zaatakowały talibów z przyczyn obiektywnych. – Tam odbywała się bitwa na bardzo małej powierzchni. Gdyby Amerykanie zaatakowali, mieliby jak w banku, że spowodują straty wśród koalicjantów – twierdzi rzecznik.

Co się, u (K)licha, dzieje?

I tu się zaczyna ta część sporu, w którym „i jedni, i drudzy mają rację”. Krytycy MON – że le-

piej mieć dobre bezzałogowe samoloty rozpoznawcze, więcej śmigłowców i lepsze do nich uzbrojenie – i MON, który ma całą listę ulepszeń polskiego kontyngentu od 2006 roku. Na drugiej zmianie były 24 transportery Rosomak. Dziś jest ich 70, a jesienią ma być ponad 80. Na trzeciej zmianie pojawiły się śmigłowce, a wkrótce dołączą nowe. Na początku żołnierze jeździli nieopancerzonymi hummerami, potem wyparły je znacznie odporniejsze „piątki” i ciężkie pojazdy typu MRAP. Zarzuty, że MON nie słucha liniowców, są więc przynajmniej częściowo niesłuszne.

W żaden sposób nie osłabia to jednak wymowy gestu Skrzypczaka. Jeśli generał publicznie krytykuje ministra, to musi się liczyć z tym, że zapłaci za to stanowiskiem. Minister nie powinien jednak liczyć na to, że dymisja nieposłusznego dowódcy ukreśli sprawę. Wszyscy, którzy znają MON od podszewki, wiedzą, że beton i biurokracja mają się tam dobrze. Sławomir Petelicki wymienia nawet nazwiska: sekretarza stanu, generała Czesława Piątasza i I zastępcy szefa sztabu generalnego, generała Mieczysława Stachowiaka. A jeden z byłych wysokich rangą urzędników w MON mówi mi anonimowo, że minister Klich odgrodził się od dowódców liniowych za pomocą sztabu generalnego. – Niby to jest zgodne z prawem – przyznaje urzędnik – ale sprawia, że szef resortu nie wie, co się wokół niego dzieje. Poprzednicy Klicha Aleksander Szczygło,

Radosław Sikorski czy Jerzy Szmajdziński potrafili obejść te przepisy i kontrolowali sytuację. Jeśli Klich nie zajmie się naprawianiem błędów w swoim resorcie, straci zaufanie premiera.

– Już je utracił – przekonuje Petelicki. – Jestem zdumiony polemiką Klicha ze Skrzypczakiem w sprawie zakupu sprzętu dla Polaków w Afganistanie. Przecież Donald Tusk pojechał osobiście do Ghazni i sam przyznał, że ogromne środki, które idą do MON, nie są kierowane tam, gdzie potrzeba.

Zadania na wyrost

MON twierdzi, że nasi skutecznie kontrolują bezpieczeństwo w Ghazni (z wyjątkiem dystryktu Nawa, który ISAF sobie na razie odpuściło). Ale jest raczej osamotnione w tym twierdzeniu. Niezależni eksperci są zdania, że realizujemy zadania na wyrost. – Albo zwiększymy nasze możliwości, albo zmniejszymy zakres odpowiedzialności – mówi mi generał Stanisław Koziej.

Jego zdaniem misja ISAF w obecnym kształcie nie ma szans powodzenia, dlatego Polska powinna nakłaniać NATO do przekształcenia jej w operację wojenną (wtedy wszystkie państwa członkowskie miałyby obowiązek wziąć w niej udział). Jeśli to się nie powiedzie, NATO powinno opracować strategię wyjścia z Afganistanu. A jeśli i to się nie uda, Polska powinna opracować plan wycofania własnych oddziałów.

REKLAMA

Biorąc pod uwagę możliwości dyplomatyczne Polski w NATO, moglibyśmy od razu zabrać się do realizacji ostatniego punktu planu Kozieja. James Carafano, ekspert wojskowy z waszyngtońskiej fundacji Heritage, który spędził 25 lat w armii, przekonuje, że byłaby to fatalna decyzja. – Do realizacji swoich zadań Sojusz nie potrzebuje krajów, które robią wszystko, żeby swoje zadania wykonać cudzymi rękami. W Europie Polska, Dania czy Wielka Brytania są chlubnym wyjątkiem, bo angażują się na miarę swoich możliwości. Jeśli się wycofacie, staniecie się nikim w NATO i stracie najważniejszego sojusznika. Łatwo was będzie zastąpić, bo Amerykanie bez problemu ściągną kilka tysięcy żołnierzy do Ghazni. Ale wam będzie trudno odbudować zaufanie. A jednocześnie byłaby to porażka Sojuszu. Jeśli NATO nie poradzi sobie z tą wojną, to będzie koniec tej organizacji.

Carafano przekonuje, że to nie jest tylko amerykańska wojna. – Znaczenie już takie konflikty, brałście w nich udział. Przybyliście z odsieczą pod Wiedeń, podczas II wojny światowej walczyliście na wszystkich frontach. Wtedy waszym wrogiem byli Turcy i Niemcy. Dziś to Al-Kaida.

Jednak sama słuszna sprawa nie wystarczy do wygrania wojny. Potrzebna jest właściwa strategia, a tej najwyraźniej brakuje i Amerykanom, i NATO. Jeśli nie zostanie wypracowana, konflikt w Afganistanie będzie się toczył jeszcze przez ca-

łe lata kosztem bezsensownych strat wśród żołnierzy. Więc może lepiej się wycofać i zostawić Afganistan samemu sobie? Tak jak Amerykanie zamierzają zrobić z Irakiem.

– To byłaby katastrofa – ostrzega Carafano. – Talibowie i Al-Kaida natychmiast obaliliby obecny rząd w Afganistanie i wkrótce przejęli władzę w Pakistanie. To oznaczałoby niechybnie konflikt z Indiami o Kaszmir. A gdyby w ich ręce wpadł arsenał nuklearny Pakistanu, to mielibyśmy na karku nie tyle nieprzewidywalne mocarstwo atomowe jak Korea Północna, ile właśnie przewidywalne: ataku ze strony fundamentalistów można by się było spodziewać niemal ze stuprocentową pewnością. Jeśli opuścicie teraz Afganistan, problemy, które tam zostawicie, pójdą za wami pod same drzwi i tam was dopadną – przestrzega Carafano.

Nawet jeśli ma rację, nie warto, by Polacy ginęli, bo NATO nie ma strategii na Afganistan. Bo politycy podejmują się nierealnych zadań. Bo sprzęt nie trafia na front przez indolencję biurokratów. Jeśli tak ma być dalej, to zabierajmy się stamtąd. To będzie błąd, ale mniejszy od tkwienia tam w imię czyichś rozbuchanych ambicji.

Zostawmy Afganistan Azjatam – rozmowa Piotra Najstuba z Romanem Kuźniarem s. 30.

KTO GINIE W AFGANISTANIE

Spośród kontyngentów zaangażowanych w bezpośrednie działania wojenne w Afganistanie polski poniósł do tej pory zdecydowanie najmniejsze straty. Liczone procentowo sytuują nas one w kategorii państw, które wprowadziły ograniczenia do swojej misji (na przykład zakaz atakowania talibów)

Kontyngent | Liczebność (zabici) | Odsetek ofiar

KONTYNGENTY BEZ OGRANICZEŃ

USA		32 000 (796)	2,5 %
Wielka Brytania		9100 (206)	2,2 %
Kanada		2800 (127)	4,5 %
POLSKA		2000 (10)	0,5 %
Holandia		1770 (19)	1,1 %
Dania		750 (24)	3,2 %

KONTYNGENTY Z OGRANICZENIAM

Niemcy		4220 (33)	0,8 %
Włochy		3650 (15)	0,4 %
Francja		3300 (29)	0,9 %

Źródło: lcasualties.org

SPONSOR GŁÓWNY

TAURON
POLSKA ENERGIA

KOPALNIA KWK KATOWICE
TEREN MUZEUM ŚLĄSKIEGO

28-30.08.2009

**TAURON
NOWA 4
MUZYKA**
KATOWICE

piątek 28.08.2009
ESBON BONES/THE BUG/PIVOT
DAN LE SAC vs SCROBIUS PIP/SPEECH DEBELLE
TAL TEK/KING CANNIBAL

sobota 29.08.2009
FEVER RAY/FLYING LOTUS
JON HOPKINS/HUDSON MOHAWKE
TIM EXILE/PLANNINGTOROCK/OSZIBARACK

niedziela 30.08.2009
ROOTS MANUVA/MUM
DAN DEACON ENSEMBLE
OSTR/POGODNO/ONRA/JACASZEK/KAMP!

WWW.FESTIWAL.NOWAMUZYKA.PL

BILETY DO NABYCIA:

TAURON

muzeum śląskie

medusa group

SHOOTME

KZK GOP

FOZA

STROER

EXKLUSIV

PRZE KROJ

gazeta

LEIF

ultramaryna

Tylko po słowacku

Nowe przepisy językowe na Słowacji bardziej ośmieszają słowackich prawodawców, niż uderzają w węgierską mniejszość

DUR(N)A LEX ŁUKASZ WÓJCIK

Od września, maszerując czerwonym szlakiem z Kasprowego na Świnicę, miej się na baczności! Nie tylko dlatego, że jest stromo. Jeśli znasz słowacki, ale spadając na słowacką stronę, zaczniesz wołać o ratunek i kląć po polsku, to już na dole możesz dostać nawet 5 tysięcy euro (20 tysięcy złotych) kary za złamanie ustawy o języku.

Według doktor Zuzanny Kusy z bratysławskiego Uniwersytetu Komeńskiego taki scenariusz, choć doprowadzony do absurdu, będzie wkrótce na Słowacji prawnie możliwy. U naszych południowych sąsiadów wchodzi właśnie w życie poprawki do prawa językowego.

Węgrzy w strachu

Dlatego w czasie spadania słowackim stokiem należy pamiętać, że nowe słowackie prawo zakazuje używania języka obcego na głos w miejscach publicznych (należy do nich park narodowy), jeśli wcześniej nie zadeklamowało się identycznej sentencji po słowacku. Przepis nie działa w dwóch przypadkach. Po pierwsze, jeśli w miejscu zdarzenia mniejszość etniczna, w której języku wypowiadał się „podejrzany”, stanowi ponad 20 procent obywateli. Po drugie, jeśli wypowiadający się nie zna słowackiego – dzięki temu nam, Polakom, się upiecze, mimo że po jednych wakacjach nad Popradem wydaje się nam, że świetnie mówimy po słowacku.

Najgorsze perspektywy mają słowaccy Węgrzy. – Zmiana prawa ewidentnie jest skierowana przeciwko nim – przekonuje nas Ludmiła Somorowa, konstytucjonalistka z Uniwersytetu Pawła Szafarzika w Koszycach. – Nie mamy u siebie innych mniejszości. Rząd mógł po prostu wpisać do ustawy, że chodzi o Węgrów.

W pięćdziesięciu milionowej Słowacji mieszka około pół miliona Węgrów. Stanowią większość w kilkunastokilometrowym pasie przy granicy z Węgrami. I odkąd trzy lata temu władzę w Bratysławie przejęła populistyczno-nacjonalistyczna koalicja premiera Roberta Fico, żyje im się coraz gorzej. Bratysława między innymi wstrzymała pomoc uniijną dla szkół z wykładowym węgierskim i zakazała korzystania z podręczników przysyłanych z Budapesztu, dopóki używane w nich węgierskie nazwy geograficzne nie zostaną zastąpione przez słowackie odpowiedniki. Nowe poprawki do ustawy językowej tylko pogorszą tę sytuację. I niewiele zmieni tu wymuszony przez Brukselę przepis o ho-



— obszary zamieszkiwane przez mniejszość węgierską

Prešov/Eperjes – nazwa geograficzna po słowacku i po węgiersku

norowaniu języka mniejszości, jeśli stanowi ona ponad 20 procent mieszkańców danego regionu. Po rozpadzie Czechosłowacji Bratysława tak przerysowała mapę administracyjną Słowacji, że Węgrzy stanowią większość mieszkańców tylko w 2 z 79 powiatów. Próg 20 procent przekraczają tylko w kilkunastu.

W pozostałych powiatach Węgrzy lekarz będzie teraz musiał do Węgry pacjenta zwrócić się najpierw po słowacku. Piosenki na festiwalu kultury węgierskiej przed ich odśpiewaniem będą musiały być tłumaczone na słowacki, a wszystkie tabliczki na pomnikach mogą zawierać napisy w obcym języku, pod warunkiem że słowackie tłumaczenie będzie równie dużych rozmiarów. Mniejszość węgierska szacuje, że do końca roku musi wymienić około 7 tysięcy tabliczek (czyli 57 dziennie; jedną co 25 minut) na pomnikach, którymi się opiekuje.

Reszta w śmiechu

Słowacki rząd tłumaczy, że nowe uregulowania to odpowiedź na węgierską „irredentę” – według Bratysławy Budapeszt od kilku lat intensywnie wspiera mniejszość węgierską na Słowacji, a nawet dąży do przyłączenia zamieszkałych przez nią obszarów do Węgier.

Tę spiskową teorię prowokacyjnie urealniali (świadomie?) węgierscy politycy. W ubiegłym roku marszałek węgierskiego parlamentu „prywatnie” wybrała się do słowackich Węgrów, aby na publicznym spotkaniu uznać się nad ich losem. Wiktor Orbán, były i prawdopodobnie przyszły premier Węgier, mówiąc o Węgrach, w sąsiednich krajach systematycznie posługuje się terminem „Kotlina Karpacka” używanym przez XIX-wiecznych węgierskich nacjonalistów do określenia obszaru „Wielkich Węgier”, co doprowadza do białej gorączki nie tylko Bratysławę, ale także Bukareszt, Zagrzeb i Belgrad.

Zmiany w słowackiej ustawie językowej wywołały oczywiście wielkie oburzenie na Węgrzech. Jednemu z polityków prawicowego Fideszu wyrwało się nawet, że Bratysława chce w ten sposób eksterminować słowackich Węgrów. Ale idea prawnej obrony języka to nic nowego. Rozbudowane ustawy językowe mają takie państwa, jak Francja czy Kanada, nie mówiąc już o krajach bałtyckich, które „odbudowują” swoje języki po dziesięcioleciach dominacji rosyjskiego.

Również język słowacki przeżywał ciężkie chwile, gdy Budapeszt w XIX wieku prowadził systematyczną madziaryzację Słowaków. – Trudno się dziwić, że w Bratysławie zapala się czerwona lampka, gdy Budapeszt przymyka oczy na działalność węgierskich faszystów z Gwardii Narodowej, którzy już kilkakrotnie przemaszerowali przez węgiersko-słowacką granicę – mówi „Przekojowi” Andras Lanczi z budapeszteńskiego Uniwersytetu Kormina. – Ale nowe poprawki robią ze słowackiej ustawy językowej prawnego potworka.

Podobnego zdania jest doktor Kusy: – Są dwie możliwości. Jeśli niejasność tej ustawy (co jest bardziej prawdopodobne) wynika z ułomności intelektualnej słowackiego rządu, to będzie śmiesznie, bo uciurpi co najwyżej niektórzy polscy turyści. Jeśli natomiast jest to zabieg świadomy, może być strasznie, szczególnie dla słowackich Węgrów.

Gdyby ten tekst ukazał się na Słowacji, to zgodnie z tamtejszym prawem za tydzień musielibyśmy zamieścić równie obszerne sprostowanie słowackiego rządu. Co potwierdza raczej tę pierwszą możliwość.

TOK Pierwsze Radio Informacyjne

W audycji „Popołudnie Radia TOK FM”. Zaprasza Grzegorz Chłosta

W czwartek 27 sierpnia po godzinie 16.45 o ustawie językowej na Słowacji słuchaj



RYSZARD HOROWITZ APOLLONIA

VIVA! PHOTO AWARDS 2009

Konkurs dla pasjonatów fotografii

Mecenas konkursu i wystawy:

APART

Z MIŁOŚCI DO PIĘKNA

BAUME & MERCIER

GENEVE - 1830

Patroni medialni:

TVP

TELEWIZJA POLSKA

onet.pl

polki.pl

digart.pl

foto

Partnerzy konkursu i wystawy:

TEATR WIELKI OPERA NARODOWA

HALOK HATOR

Oficjalny przewoźnik

www.lot.com

LOT

Honorowy Patronat konkursu i wystawy:

Prezydent Miasta Warszawy



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

VIVA! PHOTO AWARDS 2009

DLA ZWYCIĘZCÓW KAŻDEJ Z 5 KATEGORII NAGRODY PIENIĘŻNE 50000 ZŁ

O ŁĄCZNEJ WARTOŚCI ZDOBYWCA GRAND PRIX OTRZYMA SZANSE ZREALIZOWANIA SESJI ZDJĘCIOWEJ NA ŁAMACH DWUTYGODNIKA VIVA! NAGRODĘ SPECJALNĄ OD FIRMY APART (ZEGAREK BAUME & MERCIER) I ROCZNY WARSZTAT FOTOREPORTAŻU UFUNDOWANY PRZEZ AKADEMIE FOTOGRAFII

KATEGORIE: MODA PORTRET BEAUTY REPORTAŻ FOTOGRAFIA PRZEDMIOTU

SZCZEGÓŁY KONKURSU NA www.photo-awards.viva.pl

Termin nadsyłania prac: od 15 maja 2009 do 4 września 2009 r. Warunkiem przyjęcia zgłoszenia jest: zaakceptowanie regulaminu konkursu na stronie www.photo-awards.viva.pl obowiązkowo do każdego zdjęcia lub serii zdjęć. Po zaakceptowaniu regulaminu należy przesać zdjęcia w wersji cyfrowej przez stronę www.photo-awards.viva.pl. Wyniki: Ogłoszenie zwycięzców na przełomie października i listopada 2009 r. na łamach VIVY! i stronie www.photo-awards.viva.pl oraz podczas wystawy konkursowej.

→ Niezrozumiałe są też wyroki w sprawie „przestępcy”, określenia bodaj najczęściej rozpatrywanego przez polskie sądy. „Przestępców” było już co najmniej kilku. Pierwszy – Mieczysław Wachowski.

Choć sąd najpierw stwierdził, że „przestępcą” może być tylko osoba skazana, sąd okręgowy sprostował, że słowa tego można też bezkarnie użyć wobec osoby, która formalnie przestępcą nie jest, ale można o niej tak sądzić na podstawie „wiarygodnych przesłanek”.

Drugi „przestępca” to Andrzej Lepper. Gdy tak wyraził się o nim Jan Rokita, Lepper był skazany prawomocnym wyrokiem. I wtedy prokuratura uznała, że Rokita mógł tak Leppera nazwać. Co by się stało, gdyby Lepper z tą samą sprawą poszedł do innego sądu, choćby tego, który rozpatrywał pozew Wachowskiego? Identyczne pytanie można zadać w przypadku samego Rokity i procesu o „bardzo znanego w Polsce przestępcę”, którym miał być Grzegorz Wierczak. Ale sąd uznał, że mówienie tak o byłym szefie PZU jest nieeleganckie, bo sądy nigdy i za nic go nie skazały.

Skoro nie ja, to ty jesteś przestępcą

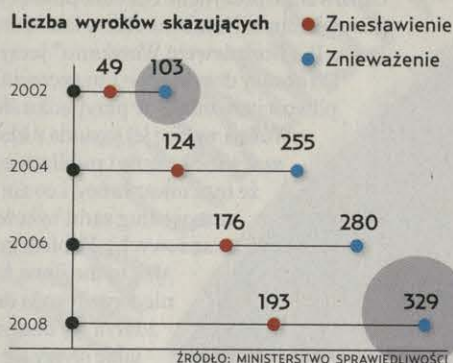
To, czy można w Polsce nazwać kogoś „przestępcą”, zależy też od tego, ilu znajomych (na których zawsze można liczyć) ma obrażona osoba. Gdy Adam Darski, lider grupy muzycznej Behemoth, podał podczas koncertu Biblię, a Kościół katolicki nazwał grupę zbrodniczą, Jerzy Nowak, szef Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami, zgłosił doniesienie do prokuratury. Postępowanie jednak umorzono, bo do śledczych... zgłosił się tylko jeden poszkodowany (właśnie Nowak), a sprawę rozpatrywano według przepisu mówiącego o obrazie uczuć religijnych. A w myśl tego przepisu – by o obrazie można było mówić – zgłosić powinny się przynajmniej dwie osoby. Czyżby Jerzy Nowak nikogo nie wysłał do prokuratury? Jak wyjaśniał, wiele osób chciało iść do śledczych, ale bały się, że sataniści się na nich zemszczą.

A skoro cała sprawa już się zakończyła, wykorzystał to (dlaczego by nie?) lider Behemota. I wytoczył Nowakowi proces za nazwanie go „przestępcą”. Sprawę... wygrał.

– Wyroki sądów w sprawach o ochronę dóbr osobistych zależą tak naprawdę od tego, na jakiego sędziego się trafi – tłumaczy doktor Paweł Księżak, pełnomocnik Stefana Niesiołowskiego w sprawach o ochronę czci.

Trudno też powiedzieć, skąd biorą się wysokości kar, jakich domagają się obrażeni. Gdy zapytałem Pawła Księżaka, dlaczego krzywdę Stefana Niesiołowskiego w procesie o zniesławienie z Radiem Maryja, w której to rozgłośni oskarżono posła o „sypanie” kolegów w latach 70., wycenił na 10 tysięcy złotych, stwierdził: – Nie wiem skąd. Po prostu przyjęło się, żeby była to wartość niższa niż kwota, jakiej żąda się za odszkodowania w wypadkach samochodowych. No bo jednak przyjmuje się, że czyjaś część to coś, co ma mniejszą wartość niż ludz-

Coraz więcej spraw o zniesławienie i znieważenie



● **Czym się różni zniesławienie od znieważenia?** W zniesławieniu (inaczej pomówieniu) osoba, której dobra zostały naruszone, musi udowodnić, że pomawiający nie mówił prawdy. W znieważeniu (inaczej obeldze) wystarczy udowodnić, że sformułowanie, które ktoś skierował pod naszym adresem, było obraźliwe. Choć musi być to obraza umyślna

kie zdrowie. Z drugiej jednak strony kara musi być odczuwalna, nie może być więc zbyt symboliczna – wytłumaczył.

Silna ekscytacja – też powód

– W Polsce w sprawach o ochronę dóbr osobistych brakuje, niestety, jednej spójnej linii orzecznictwa sądów – ocenia Adam Bodnar. Na przykładzie procesów o dobra osobiste widać też, jak bardzo przydałoby się nam prawo precedensowe. Nie dochodziłoby wówczas do absurdalnych sytuacji, gdy jedne sądy, wydając wyroki, biorą pod uwagę aktualną kulturę polityczną, a inne nie. Na przykład w określeniach Stefana Niesiołowskiego „pornominister” i „pornoprezydent” – użytych wobec Ryszarda Kalisza i Aleksandra Kwaśniewskiego – sąd nie dopatrzył się znieważenia, bo stwierdził, że poseł „znajdował się w stanie silnej ekscytacji czy nawet wzburzenia”. O emocjonalnej wypowiedzi mówił też wyrok sądu w sprawie Janusza Palikota, który użył

wobec Lecha Kaczyńskiego słowa „cham”. Sąd stwierdził, że wypowiedź pozwanego „była wysoce niefortunna, ale organa ścigania nie są powołane do podwyższania poziomu kultury przedstawicieli klasy politycznej”. Za prezydentury Kwaśniewskiego sąd pozwolił także użyć podpisu „Tu można pluć” pod podobizną byłego prezydenta, co tłumaczył następująco: „Oskarżony tylko naśladuje wzorce postępowania polityków na najwyższym szczeblu, którzy obrażają się wzajemnie, więc nie można z niego robić kozła ofiarnego”.

Niestety, na niejednoznacznym orzecznictwie cierpią najbardziej zwykli obywatele. Nie wiedząc, w jakim zakresie mogą krytykować władzę, mogą czuć się zastraszeni (dobrze, że internauta z Gorzowa zamierza walczyć o swoje prawa w Strasburgu). – W wielu krajach politycy, gdy ktoś ich obrazi, a tym bardziej obywatel, machają na to ręką. Osoby publiczne mogą bowiem odpowiadać na zniewagę poprzez media czy oświadczenia na konferencjach – tłumaczy Adam Bodnar.

Dlatego politycy powinni wreszcie przestać wytaczać procesy o ochronę swojej czci. Zwłaszcza gdy są to procesy karne wszczynane z urzędu (a więc na koszt podatników) przeciwko własnym wyborcom. Tak początkowo chciała załatwić sprawę radna z Gorzowa, której jako funkcjonariuszowi publicznemu przysługiwało prawo do rozpatrzenia sprawy właśnie z urzędu. Prokuratura jednak odmówiła wszczęcia śledztwa, bo nie widziała w sprawie interesu społecznego, i zaproponowała kobiecie wytoczenie sprawy cywilnej.

Po procesie o „pedała” internauci sugerowali, że z pozywania za użycie tego słowa będzie można zrobić niezły biznes. Czy nie dojdzie zatem do tysięcy pozwów? Raczej nie, bo politycy na swoją cześć są jednak dużo bardziej wrażliwi. Gdy pokłócą się ze sobą, sąsiedzi, na przykład o to, czy pies powinien siąść na osiedlowym trawniku, czy nie, to zamiast iść do sądu, zwykle przestają się do siebie odzywać. No, chyba że ktoś rzeczywiście zacznie nam uprzykrzać życie – tak jak Anna Sz. Ryszardowi Gierszowi.

JAK LAWIROWAĆ, BY NIE DOPUŚCIĆ DO PROCESU O OCHRONĘ CZCI?

● **WYSTARCZY NA PRZYKŁAD** zasugerować gestem, mimiką lub słowem, że to, co się mówi, to tylko żart, tak jak zrobił to ostatnio ojciec Rydzyk. Sąd stwierdził jednoznacznie, że przestępstwa w mówieniu o Murzynie, że się nie myli, nie ma, bo był to dowcip. Rzeczywiście, gdy spojrzeć na taśmę z wypowiedzią Rydzyka, ojciec się uśmiechał.

● **MOŻNA TEŻ UŻYĆ SŁOWA** wieloznacznego, tak jak

zrobił to Stefan Niesiołowski, twierdząc, że prezydent Kaczyński to „mały, zakompleksiony człowiek”. Dziś tłumaczy, że mówiąc „mały”, miał na myśli człowieka małego. I pewnie ma rację. Bo „Słownik języka polskiego” podaje 10 objaśnień wyrazu „mały”, w tym jedno brzmi: „kierujący się niskimi pobudkami, moralnie niewiele wart”. Prokuratura pozew

już oddaliła, ale po złożeniu zażalenia sprawę musi zająć się ponownie.

● **STOSOWAĆ METATEKST.** Janusz Palikot powiedział na przykład: „Uważam prezydenta za chama”. Nie powiedział wprost, że prezydent jest „chamem”, ale tylko to, że zdaje sobie sprawę ze stanu swojego sąsiedztwa na temat prezydenta. A więc de facto nikogo nie obraził. Chyba.

**Droga hamowania
tego samochodu*
z prędkości 100 km/h
do zera wynosi
38 metrów.**

*Sprawdził to.
Zawsze sprawdzamy.
auto motor i sport*

*) Volkswagen Polo – test w *auto motor i sport* 9/2009



Procedura testowa *auto motor i sport* obejmuje 242 kryteria. Najważniejsze z nich to pomiary drogi hamowania, przyspieszenia, elastyczności silnika, hałasu we wnętrzu samochodu oraz próby dynamiczne, slalom, test łosia (VDA), test ISO. Na co dzień używamy profesjonalnego sprzętu firmy 2D, który jest wykorzystywany do pomiarów w wielu wyścigach samochodowych, w tym w wyścigach Formuły 1.

**auto
motor
i sport**

www.auto-motor-i-sport.pl

Marzenie o inżynierze

370 milionów złotych dla uczelni, wysokie stypendia dla studentów i niemal pewne zatrudnienie. I co? Chętnych na kierunki ścisłe wciąż brak

SZKOLNICTWO WYŻSZE JUDYTA SIERAKOWSKA

W Unii Europejskiej średnio 14 procent absolwentów wyższych uczelni to inżynierowie. U nas jest ich zaledwie 7 procent. Alarmująco brzmią prognozy TNS OBOP, z których wynika, że za pięć lat w Polsce brakować będzie ponad 76 tysięcy inżynierów różnych specjalności!

W Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego uznano, że trzeba jakoś zachęcić młodych ludzi do studiowania na kierunkach technicz-

nich: i uczelnie, i studenci będą dostawać pieniądze za preferowane kierunki. Celem programu kierunków zamawianych (za których realizowanie ze względów strategicznych płaci państwo z funduszy Unii Europejskiej) jest wykształcenie kilkudziesięciu tysięcy absolwentów, którzy mają w przyszłości przydać się polskiej gospodarce. W akcji biorą udział 42 uczelnie, a tegoroczny budżet programu wzrósł trzykrotnie w stosunku do zeszłego roku, gdy był wprowadzany pilotażowo. – Wiele uczelni złożyło bardzo dobre projekty

z atrakcyjnymi formami kształcenia: stażami, praktykami czy oferując współpracę z pracodawcami. Do tego bezpłatne zajęcia wyrównawcze z matematyki, chemii czy fizyki, nauka języków oraz nowatorskie formy kształcenia – wylicza profesor Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyższego.

Z humanisty nie ulepisz inżyniera

Resort zapłacił też za wielką akcję promocyjną. Studentów kuszą też hasła samych uczelni: „Poczuj chemię po chemii” czy „Inżynieria materiałowa – przyszłość gospodarki”. Są też bardziej praktyczne powody: studenci zamawianych kierunków mają niemal pewność zatrudnienia po zakończeniu edukacji. Dodatkowo w czasie studiów najlepsi (nawet połowa osób na roku) będą otrzymywać tysiąc złotych stypendia.

Czy to wszystko nie będzie prowadziło do produkowania nieudanych inżynierów? Jak twierdzi minister nauki, program ma za zadanie poprawiać proporcje w strukturze studiowania, a nie zmieniać predyspozycje zawodowe kandydatów.

– Ktoś, kto nie ma zdolności do kierunków ścisłych, nie poradzi sobie. Humanistycznego lekkoducha nie skusi też stypendium – uważa Sławomir Baczulis, rzecznik Wyższej Szkoły Ekologii i Zarządzania w Warszawie.

Potwierdza to także badanie OBOP. Choć ogół Polaków wskazuje możliwość uzyskania dobrej pracy po studiach jako czynnik wyboru kierunku, to już sami młodzi stojący realnie przed takim wyborem twierdzą, że najważniejsze są dla nich zainteresowania.

I dlatego wiele uczelni technicznych jeszcze nie zamknęło list rekrutacyjnych. Co innego szkoły humanistyczne. Psychologia, prawo, filologie, dziennikarstwo czy politologia nadal są najpopularniejszymi kierunkami studiów, mimo że rynek fachowcami z tych dziedzin jest już nasycony. I mimo że nie są przez państwo dotowane.

– Brak przynajmniej równorzędnego wobec nauk humanistycznych zainteresowania ścisłymi kierunkami to poważny problem, bo i w Polsce, i na świecie zarówno dziś, jak i w przyszłości inżynierowie będą potrzebni. Bez nich trudno liczyć na szybki rozwój technologiczny i wzrost gospodarczy – boleje minister Kudrycka.

Widać jednak jaskółki zmian. W ciągu jednego roku akademickiego budownictwo stało się jednym z popularniejszych kierunków studiów, wskakując z 11. miejsca w 2007/2008 na miejsce 5. w obecnym.

Dziewczyny na politechniki

Politechnika Gdańska, która otrzymała 11 milionów złotych w ramach programu kierunków zamawianych, rekrutacyjny sukces wywalczyła hasłem „Dziewczyny na politechnikę”. I dziś uczelnia chwali się wzrastającą liczbą kobiet w swych szeregach. Liczba studentek wzrosła tam o ponad jedną trzecią – z 1322 przyjętych w roku 2007/2008 do 1849 w roku następnym! Kusily nie tylko hasła, ale także atrakcyjne techniczne kierunki, między innymi: biotechnologia, ochrona środowiska i zarządzanie czy mechatronika.

– Jeszcze za wcześnie, aby stwierdzić, czy dzięki kierunkom zamawianym zwiększyła się liczba studentów. W ubiegłym roku dopłata dotyczyła biotechnologii leków, na którą i tak zgła-

sza się wielu kandydatów – ocenia doktor habilitowany inżynier Michał Pilarczyk, prodziekan do spraw studiów Wydziału Chemicznego PG.

– Studentów jest więcej o blisko 70 procent w stosunku do roku ubiegłego – chwali się natomiast Sławomir Baczulis z WSEiZ, którego uczelnia była jedyną prywatną, która w zeszłym roku brała udział w pilotażowym dofinansowaniu. W tym roku również zdobyła ministerialne pieniądze. – Dla uczelni prywatnej to ogromna pomoc. Pozwala przyjąć część studentów za darmo, a pozostałe pieniądze wędrują na dodatkowe zajęcia: wyrównawcze czy nowe przedmioty, takie jak podstawy wyceny nieruchomości lub angielski dla sektora budowlanego. Studentom zorganizujemy też wyjazdy do firm produkcyjnych i zaoferujemy staże – rzuca przykładami Baczulis.

Matematyka na maturze

Jednak mało popularnym kierunkom i unijne pieniądze nie pomogą. Na Uniwersytecie Warszawskim sale z wykładową fizyką, która premiowana jest stypendiami, świecą pustkami niczym w kiepskim teatrze. Wolnych jest 60 miejsc. Dodatkowe pieniądze nic nie zmieniły. Zarówno w tym, jak i poprzednim roku.

I choć resort nauki ostro pracuje nad tworzeniem matematycznej potęgi, to źródło problemu tkwi w posunięciach poprzednich szefów MEN, czyli w zniesieniu matematyki jako obowiązkowej na maturze*. Teraz przyszli studenci mniej się do niej przykładają, bo nie mają motywacji, a nauczyciele traktują ją po macoszemu.

– W ostatnich latach nauka matematyki w niektórych szkołach średnich rzeczywiście kulała. To powoduje, że część maturzystów nie jest dobrze przygotowana do studiowania na kierunkach ścisłych – przyznaje minister Kudrycka. I dodaje, że jeszcze w tym miesiącu Ministerstwo Nauki odbędzie w tej sprawie kilka spotkań z Ministerstwem Edukacji.

Czas najwyższy. Już cztery lata temu Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich zaapelowała o przywrócenie matematyki na maturze. Alarmowali, że odstawiamy od Europy pod względem liczby studiujących na kierunkach ścisłych. Rektorzy boleli nad tym, że ich studenci są coraz słabiej przygotowani do studiów technicznych, a pierwsze wykłady muszą sprowadzać się do korepetycji z matematyki. I co z tego wynika? Wciąż nic. Nadal zdarzają się przypadki, że maturzyści nie potrafili dodać czy odejmować ułamków. Takich osób ani wizja wysokich stypendiów, ani pewność pracy po studiach nie zachęca do studiowania na kierunkach technicznych. A żeby resortowi nauki dodatkowo sypnąć piaskiem w oczy, rocznik, który idzie w tym roku na studia, jest pierwszym z głębokiego niżu.

HANDEL MILENA RACHID CHEHAB

W poszukiwaniu straconej kasy

„A co tak drogo?” – to pytanie, które sklepikarzy denerwuje najbardziej. W ciągu ostatnich dni z uporem maniaka zadawałam je handlowcom setki razy. I teraz wreszcie wiem, skąd biorą się tak wysokie ceny na sklepowych półkach

D ręczenie zaczęłam od osiedlowego spożywczaka. Mleko po 3,20 zł tego za butelkę, kostka masła po 4,20 zł, a kilogram brzoskwiń po 4,50. Przy każdym produkcie marudziłam, że drogo, a sprzedawczyni przekonywała, że nie mam racji. I tłumaczyła, że we Francji, gdzie właśnie spędziła urlop, wszystko jest dwa razy droższe. Potem poruszając starała się zrelacjonować, jaką drogę przebywają produkty, zanim trafią do mojej torby. – To masło jest prosto z mazurskiej łąki! Niech pani pojedzie po to masło własnym samochodem. Dopiero by się pani wykoszowała – przekonywała kobieta. W końcu skapitulowała, zrzucając winę na kryzys, rolników, rząd i klientów, którzy nic, tylko wybrzydzą.

Z danych Głównego Urzędu Statystycznego, który co miesiąc rejestruje aż 315 tysięcy informacji o cenach towarów i usług, wynika, że w ciągu ostatniego roku poszły one w górę o 3,6 procent. To oznacza, że jeśli w ubiegłym roku podczas wizyty w sklepie wydawałeś 100 złotych, to w tym niecałe 104 złote. Chyba że w swoim koszyku masz pełno produktów importowanych, na przykład owoców egzotycznych czy alkoholi. Ich ceny wzrosły bardziej z powodu słabego kursu złotówki.

Trzeba pamiętać, że GUS-owski koszyk dóbr (to na jego podstawie wyliczana jest inflacja) uwzględnia wyłącznie ceny uśrednione. Jest też tak skonstruowany, by odzwierciedlał koszyk zakupów statystycznego Polaka, a taki ktoś przecież nie istnieje. Dlatego rolnicy, nie oglądając się na GUS-owskie, wcale nie tak szokujące dane o wzrostach cen, podnieśli ostatnio alarm: ceny na sklepowych półkach w stosunku do tych, które obowiązują w punktach skupu, są drastycznie zawyżane. Krajowa Rada Izb Rolniczych (KRIR) zaproponowała, by na produktach obowiązkowo widniały ceny sug-

rowane. Dzięki nim zarówno rolnicy, przetwórcy, właściciele sklepów, jak i klienci będą mogli łatwo się zorientować, czy ktoś ich robi w bambuko.

Wyhodowanie kosztuje

Według Ministerstwa Rolnictwa w ciągu ostatnich ośmiu lat ceny żywności u polskich rolników (pierwsze ogniwo łańcucha) wzrosły o 16 procent, ceny producentów żywności, czyli na przykład masarni (drugie ogniwo), również o 16 procent, a ceny detaliczne produktów rolnych w sklepach nieproporcjonalnie więcej, bo aż o 25 procent. Dlatego w najbliższych tygodniach rząd ma powołać międzyresortowy zespół do zbadania cen (a właściwie marży). I jeśli okaże się, że te będą absurdalnie wysokie, politycy rozważą pomysł, by wprowadzić na produktach

3,5 zł
Cena u rolnika
5,1 zł
Cena w przetwórstwie
8,5 zł
Cena w supermarkecie



POLSKO-JAPOŃSKA WYŻSZA SZKOŁA TECHNIK KOMPUTEROWYCH

INFORMATYKA KIERUNEK ZAMAWIANY

10 TYS. ROCZNEGO STYPENDIUM DLA NAJLEPSZYCH NA STUDIACH DZIENNYCH WARSZAWA

022 58 44 590
p.jwstk@p.jwstk.edu.pl

DNI OTWARTE 5 i 15 WRZEŚNIA

WWW.PJWSTK.EDU.PL

Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego.

KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ SPOŁECZNY

→ obowiązkową adnotację: „Cena sugerowana”.

– To bezsensowny pomysł, czego dowodem jest Danone, który cenę sugerowaną stosuje od kilku lat i często ma się ona nijak do tego, co widzimy w sklepach – przekonuje Andrzej Maria Faliński, szef Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji reprezentującej duże sieci handlowe. – Bo inna cena będzie w sklepie w Warszawie, inna na wsi. Inna też w hipermarkecie, a inna w małym sklepiku.

W edukacyjną wartość pomysłu wierzą za to rolnicy. – Obwinia się nas o wysokie ceny, nie patrząc na to, że marże na drodze od przetwórcy do sklepowej półki potrafią „zjeść” nawet 80 procent końcowej ceny produktu – mówi Wiktor Szmulewicz, szef KRIR.

– Produkcja jest w sumie najprościej – ripostuje Faliński. – Sęk w tym, jak dostarczyć towar do klientów i jeszcze ich przekonać, że powinni dany produkt kupić.

Produkcja kosztuje

Od kilku lat ceny w skupie kształtują się mniej więcej na podobnym poziomie (wahania są niewielkie, związane na przykład z urodzajem lub nieurodzajem w danym sezonie). Dlaczego więc ceny produktów, gdy opuszczają punkt skupu, błyskawicznie rosną?

Przyczyn jest kilka. Pierwsza to kwestie obróbki towarów. Na przykład owoce i warzywa przywożone przez rolnika są często nie najlepszej jakości. W skrzynkach pomidory jak z obrazka przykrywają często te mniej atrakcyjne, mniejsze i brzydlące (są tańsze, więc skończą jako keczup). Trzeba je umyć, posegregować. To kosztuje. Poza tym około 10 procent owoców i warzyw stanowi zwykle towar zepsuty, który nadaje się do wyrzucenia.

Podobnie jest z mięsem. Droga od zwierzęcia do kotleta na półce sklepowej jest daleka. Ofiarę przywiezioną do skupu trzeba ubić, mięso odpowiednio przygotować, zbadać. Teoretycznie schab w sklepie jest trzy razy droższy niż od rolnika, bo za kilogram półtuszy rolnik dostaje mniej więcej 7 złotych, ale z tego kilograma tylko około 12 procent to schab (reszta oczywiście też ląduje na dziale mięsny, ale już z innymi plaketkami cenowymi).

Na wzrost cen wpływ mają też koszty działalności producentów. W ostatnich latach

najbardziej dotkliwy był dla nich wzrost wynagrodzeń (dziś średnia płaca w gospodarce to 3081 złotych, podczas, gdy pięć lat wcześniej 2289 złotych) oraz cen energii.

To w dużym stopniu z powodu rosnących kosztów działalności producenci (masarnie, mleczarnie, cukrownie) podnoszą swoje marże, które w ich przypadku wynoszą – w zależności od produktu – od kilku do nawet 50 procent.

Dystrybucja kosztuje

Za spory wzrost cen odpowiadają też pośrednicy, czyli hurtownie. Szef KRIR oskarża je o działalność na granicy spekulacji: – Bywają sytuacje, że oferowana przez pośrednika dystrybucja ogranicza się do wystawiania faktur za dostarczenie produktów. W rzeczywistości hurtownie niczego nie dostarczają, dostawą zajmują się producenci albo sklepy, które same przyjeżdżają po towar do producenta – twierdzi Szmulewicz.

Pośrednictwo jest jednak nieuniknione, bo małe sklepy zwykle nie mogą sobie pozwolić na jeżdżenie od producenta do producenta. Z kolei przeciętny polski producent jest zbyt mały, by stać się partnerem dla dużych sklepów. Rozwiązaniem mogłoby być utrzymywanie własnej sieci dystrybucji, ale zdaniem Andrzeja Falińskiego naszych producentów na to nie stać. – Ich działalność opiera się najczęściej na wąskiej specjalizacji, na przykład na posegregowaniu owoców i wysłaniu ich do następnego pośrednika. We Francji jest to możliwe, ponieważ rolnicy tworzą coś na kształt prywatnych odpowiedników PGR-ów, które nie tylko dostarczają warzywa czy mięso, ale także są w stanie częściowo je przetworzyć, czym u nas zajmują się kolejne firmy pośredniczące. Tam około 25 procent wartości wszystkich operacji wokół produktu powstaje na wsi, podczas gdy w Polsce zaledwie 10–15 procent – tłumaczy Faliński.

Podobnie jest z dystrybucją. – Żeby dostarczyć towar do klientów, producent musi albo wynająć



1,5 zł/kg
Cena u rolnika

2 zł/kg
Cena w przetwórni

3 zł/kg
Cena w supermarkecie

firmę logistyczno-transportową, która się tym zajmie, albo powierzyć to zadanie, za odpowiednią opłatą oczywiście, centrum zakupowemu wielkiej sieci handlowej – tłumaczy. Wzrost cen paliwa odbija się więc na każdym produkcie w naszym sklepowym koszyku.

Kupowanie kosztuje

Ale na drodze do kasy, przy której musisz wyciągnąć portfel, jest jeszcze sprzedawca. Według magazynu „Wiadomości Handlowe”, który przeprowadził analizę rynku hipermarketów, marża w tych sklepach waha się od 10 do 16 procent. Producenci żywności podkreślają, że to jednak tylko pozory. – Do tego dochodzi wiele opłat, które wynoszą drugie tyle co marża – mówi Marek Murawski z Krajowej Rady Spółdzielni Mleczarskich. – Płaci się za wszystko: miejsce na półce, imprezy organizowane przez sklep, remodelling sieci, czyli zmiany wystroju sklepu, ubezpieczenie od nagłego wycofania towarów przez producenta i szereg innych.

W sumie więc średnio za uśmiechniętą (lub nie) panią sprzedawczynię, światło, muzykę, klimatyzację, a także magazynowanie produktów i ich szeroki wybór na półkach płacisz jedną trzecią ceny produktu.

– Jesteśmy na kolanach – narzekają producenci żywności. – Nie mamy swojej sieci dystrybucji, więc musimy się godzić na warunki narzucane przez hipermarkety, choć są one na granicy opłacalności. Andrzej Faliński z POHiD odpowiada: – Przecież nikt im nie każe sprzedawać w hipermarketach.

I ostrzega: – Jeśli producenci wymuszają wprowadzenie maksymalnych marż, będzie to dla nich gwóźdź do trumny. Ich miejsce zajmą wielcy producenci z innych krajów europejskich i szybko ich wykończą. A wtedy ceny naprawdę osiągną „europejski poziom”.

Innymi słowy, jak wzdycha pani stojąca za mną w kolejce w osiedlowym warzywniaku: „Płać i płac”. Teraz przynajmniej wiesz nad czym.



86 gr/litr
Cena u rolnika

1,4 zł/litr
Cena w przetwórni

2,4 zł/litr
Cena w supermarkecie

Marek Raczkowski Rysunki



Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego w Warszawie
30.06. – 13.09.2009 r.

Muzeum czynne dla publiczności:

wtorek – niedziela 11 – 18

czwartek 11 – 20

w soboty wstęp wolny

Muzeum Karykatury
im. Eryka Lipińskiego

ul. Kozia 11, 00-070 Warszawa

tel./faks: (22) 827 88 95

www.muzeumkarykatury.pl

muzeumkarykatury@poczta.wp.pl



„Nie ma na świecie osoby, która doszła do czegoś sama. Można osiągnąć swój cel tylko z pomocą innych ludzi.”



Czy wiesz, dlaczego warto pomagać?

Wielu z nas uważa, że mamy dość swoich problemów i mało czasu. Nie zdajemy sobie sprawy, jaką radość można dać sobie i innym niosąc pomoc.

Zostań wolontariuszem!

Pomagaj w odrabianiu lekcji, ucz języków obcych, spędzaj z dziećmi czas lub organizuj zajęcia dodatkowe... Dzieci z domów dziecka, rodzin zastępczych i świetlic środowiskowych czekają na Twoją pomoc!

Zgłoś się na adres mailowy:

wolontariat@fundacja.przyjaciolka.pl

lub zadzwoń (022) 58 42 159

Więcej na www.fundacja.przyjaciolka.pl



Rozmowa odbyła się 21 sierpnia 2009 roku w Warszawie

Panie profesorze, czy cieszy pana przebieg wyborów w Afganistanie? Odrąbiono je jako sukces, 50-procentowa frekwencja, mało zamachów bombowych...

– Gdyby to była cała prawda o tych wyborach, to wszyscy powinni się cieszyć. Ale myślę, że nikt nie wierzy w to, że te wybory cokolwiek zmienią w Afganistanie, łącznie z naszym udziałem w tej wojnie. Więc wybory z tego punktu widzenia nie są żadną istotną cezurą. Arcytrudnym zadaniem było doprowadzenie do nich, dotrzymanie terminu, organizacja i tak dalej. Tylko nie bardzo wiemy, w jakim celu one były, dlatego że w czasie wojny nie robi się wyborów – to oczywiste. Bo co możemy powiedzieć o ich wyniku, jeżeli w obliczu wojny ludzie szli na nie z narażeniem życia... Widziałem zdjęcia z tych wyborów, Afgańczyków stojących w kolejkach do punktów wyborczych, a pamiętam, jak kilkanaście dni temu nowy sekretarz generalny NATO, kiedy przejmował władzę, ogłaszał, że misja afgańska ma na celu prawa człowieka, a zwłaszcza prawa kobiet. A ja w tych kolejkach nie widziałem ani jednej kobiety.

To dosyć dziwne uzasadnienie dla działań zbrojnych.

– Kiedy to powiedział, skomentowałem: to niech może zacznie od likwidacji domów publicznych w Europie Zachodniej, do których kobiety są przemocą ściągane w dużym stopniu poprzez protektorat międzynarodowy NATO, jakim jest Kosowo. Wiadomo, że mafie kosowskie mają ogromny udział w tym procederze. Jeżeli zależy mu tak bardzo na walce o prawa kobiet, to może należałoby zacząć od siebie, czyli od miejsca, w którym NATO ma pełną kontrolę od wielu lat.

Te wypowiedzi chyba świadczą o tym, że NATO na gwałt próbuje jakoś wymyślić usprawiedliwienie dla misji w Afganistanie?

– Wiadomo, że Rasmussen jest bardzo proamerykańskim politykiem i w związku z tym dla niego z całą pewnością kontynuacja misji afgańskiej w takiej postaci, w jakiej ją zastał, jest bardzo ważna. A przecież stoimy przed zagadnieniem redefinicji naszej misji. I z całą pewnością kierunek, który on proponuje – że jesteśmy tam, żeby strzec praw człowieka – jest całkowicie błędny. NATO nie jest od praw człowieka. Przykro to mówić, ale jeżeli już NATO angażuje się w wojnę, to chce nie chcąc, bierze udział w naruszaniu praw człowieka, nawet jeżeli długofalowym celem Sojuszu jest poprawa sytuacji w tych sprawach. Myśmy się niespecjalnie zresztą popisali jako NATO, zwłaszcza Amerykanie, przez tych kilka lat w Afganistanie – od naszej broni zginęła tam masa niewinnych cywilów. Więc mówienie o prawach człowieka przez sekretarza generalnego NATO nie jest najbardziej fortunate. Ale problem redefinicji misji pozostaje, bo my tam nie możemy tkwić z takim założeniem, z jakim wchodziliśmy, że będziemy ścigać terrorystów, zwalczać talibów i pomagać tym, których osadziliśmy przy władzy, odbudowywać infrastrukturę, tworzyć instytucje demokratyczne w kraju, który nie wie, co to jest demokracja, i którego my na demokrację nie nawrócimy, nawet jeżeli od czasu do czasu zorganizujemy dekoracyjne wybory. Bo jeżeli taki jest sens naszej misji, to by oznaczało, że tam pozostajemy właściwie na całe życie, bez końca.

Jaki więc powinien być nowy, sensowny cel misji NATO w Afganistanie? Szczególnie w obliczu wojny, którą przegrywamy, bo pięć lat temu było dużo lepiej, a teraz zakres władzy talibów w Afganistanie cały czas się powiększa?

– Jest pewien problem z taką elementarną definicją z polskiej perspektywy, dlatego że my nie nauczyliśmy się normalnie rozmawiać o wojnach, w których bierzemy udział. Wszyscy dobrze pamiętamy, jak bardzo starano się ograniczyć rozmowy, dyskusje nad sensem naszego udziału w wojnie w Iraku. Cenzura była wtedy ogromna. Sam jej doświadczałem. Teraz jest nieco łatwiej, ale nadal, kiedy niektórzy ludzie domagają się wyjścia z Afganistanu, to z najwyższych państwowych szczebli widzę próby zamykania ust argumentem o nieodpowiedzialności, racji stanu i tak dalej. Tak nie wolno, dlatego że w demokratycznym kraju wojna, w której bierzemy udział ósmy rok, w odległym regionie, musi być przedmiotem stałej refleksji, oceny, analizy. I żaden głos nie może być tak łatwo wyszydzany czy odrzucany. A przecież nad wojnę nie ma niczego ważniejszego w życiu państwa. Wojna i pokój to są zasadnicze zagadnienia, a my nie potrafimy

o tym rozmawiać. Myślę, że trzeba sobie najpierw zadać pytanie podstawowe. Czy prowadzenie tej wojny w takiej postaci, jak to w tej chwili ma miejsce, jest nieuchronne? Czy my musimy na pewno tę wojnę prowadzić, tak jak to się dzieje już od dobrych paru lat? Amerykański ekspert w tej dziedzinie Richard Haass, który był zresztą moim odpowiednikiem w departamencie stanu jako szef biura planowania i analiz, a obecnie jest prezydentem Amerykańskiej Rady Stosunków Zagranicznych, bardzo słusznie powiada, że wojna w Afganistanie w tej chwili już nie jest „wojną z konieczności”. Chodzi o to słynne rozróżnienie *war of choice*, *war of necessity* [wojna z wyboru, wojna z konieczności]. Jeżeli tak, a ja uważam podobnie, to właściwie wszystkie opcje są możliwe do rozważenia, łącznie z zaplanowanym starannym wycofywaniem się z tej operacji militarnej. Osobiście nie jestem zwolennikiem i nie apeluję o to, żeby się już w tej chwili wycofać, czy NATO, czy my, to nie byłoby rozsądne. Natomiast nie możemy z drugiej strony powiedzieć, że wszystko jest OK, jeżeli ósmy rok prowadzimy wojnę i jest raczej coraz gorzej niż lepiej. Bo to znaczy, że kontynuacja i eskalacja tego konfliktu jest ślepą uliczką. Zasadniczą rzeczą jest przyjęcie założenia, że NATO nie jest lekiem na całe zło Afganistanu. Po drugie, NATO nie może decydować, kto w jakiej dolinie rządzi. Oni sami decydowali o tym od stuleci, a my chcemy, żeby Afganistan stał się krajem na nasze podobieństwo. Tak się nie stanie, także dlatego, że jak pisał inny amerykański ekspert od Afganistanu, tam nie można przyjąć jednej recepty na tę całą wojnę, bo tam nie ma jednej wojny, jest tam wiele bardzo różnych wojen, różne konstelacje przeciwników. I NATO nie może mówić, że w tej dolinie mają rządzić zwolennicy takiego czy innego generała, prezydenta, ministra czy gubernatora, talibowie czy nasi...

A próbuje to robić.

– Niestety. Jest w piosence grupy Raz, Dwa, Trzy taki tekst: „Nazwijmy rzeczy po imieniu, a zmienia się w okamgnieniu”. Trzeba mieć odwagę nazywać rzeczy po imieniu. NATO bierze w tej chwili udział w wojnie domowej. A przecież NATO nie może być stroną w żadnej wojnie domowej, nie po to jest ten Sojusz, my go w ten sposób skompromitujemy! To raczej tkwienie w tego rodzaju wojnie naraża go na kompromitację niż rozsądne wycofanie się czy chociaż zredefiniowanie tej misji.

Niektórzy jednak twierdzą, że to jest właśnie moment decydujący dla NATO, że jeżeli nie wyjdzie z misji w Afganistanie zwycięsko, to będzie to początek końca Sojuszu.

– My go raczej bardzo narazimy, jeżeli będziemy w sposób ortodoksyjny trwać przy pierwotnych założeniach i jeżeli nam nie wychodzi, to dokładamy tylko więcej wojska. Clausewitz przewraca się →

ZOSTAWMY AFGANISTAN AZJATOM

W demokratycznym kraju wojna, w której bierzemy udział ósmy rok, musi być przedmiotem stałej refleksji i analizy – uważa **profesor Roman Kuźniar**. Zwłaszcza gdyby się okazało, że w Afganistanie zostaniemy dłużej niż Amerykanie





→ w grobie, bo w Afganistanie wojskowy punkt widzenia bierze władzę nad politycznym. A my musimy szukać tam rozwiązania politycznego. W tej chwili Amerykanie i my, NATO, zaczynamy być częścią problemu afgańskiego, a nie częścią jego rozwiązania. I to musimy sobie uświadomić. Ale przede wszystkim kierownictwo polityczne państwa powinno zdecydować, jaka ma być ta wojna i udział Polski w tej wojnie. Najwyższe kierownictwo polityczne państwa musi się z tym pytaniem zmierzyć.

Ale kolejne najwyższe kierownictwa polityczne bezrefleksyjnie klepały to, co zastały, ewentualnie dorzucały coś jeszcze, jeżeli Amerykanie prosili. Taka jest historia naszego udziału w tej wojnie.

– Korzenie takiego bezrefleksyjnego angażowania się naszego wojska w operacje militarne prowadzone przez Stany Zjednoczone są na początku tej dekady. Miałem nadzieję, że nowa administracja USA, pod nowym prezydentem, będzie miała większe pole manewru, jeśli chodzi o podejście do Afganistanu.

Ale wygląda na to, że jest to kontynuacja.

– Być może potrzeba więcej czasu, dlatego że tych głosów, które mówią, że ta wojna jest źle prowadzona, że sytuacja się pogarsza, że trzeba zmienić nasze podejście, być może łącznie z wycofaniem się, jest coraz więcej. Ta ilość może przejść w jakość. Bo z całą pewnością NATO czy Amerykanie, także my, jeżeli będziemy w tym dalej brać udział, musimy się skupić na problemie zasadniczym, którym jest bezpieczeństwo, ale definiowane wąsko, a nie szeroko, łącznie z prawami człowieka. Kiedyś wrzucono prawa człowieka do bezpieczeństwa i tak my to bezmyślnie powtarzamy. A nie w każdej sytuacji tak jest.

Panie profesorze, czy Amerykanie mogą zmienić strategię na tyle, że podejmą negocjacje z samą Al-Kaidą? Bo tak naprawdę, jeśli tego nie będzie, to...

– Nie sądzę, żeby z Al-Kaidą należało rozmawiać, i nie sądzę, żeby Amerykanie byli gotowi do rozmów z Al-Kaidą. Al Kaida to jednak terroryści, oddzielna kategoria przeciwnika. Irytuje mnie, jeżeli chodzi o Afganistan, to, że my tam uważamy za przeciwników wszystkich, którym nie podoba się obecność między narodowych wojsk w tym kraju, to, że obce kraje, łącznie z Polską, próbują narzucić im jakieś rozwiązania polityczne, instytucjonalne, obyczajowe. To jest błąd.

Roman Kuźniar, 56 lat, doradca ministra obrony narodowej Bogdana Klichy, wybitny politolog, profesor nauk humanistycznych. Od 1990 roku związany z administracją państwową, najpierw jako szef Departamentu Planowania i Analiz w MSZ, potem przedstawiciel RP w ONZ w Genewie. Jego pierwszy rozwód z polityką miał miejsce w 2002 roku, gdy Kuźniar inaczej niż rząd SLD ocenił rolę Polski w konflikcie iraackim. Pozostało mu wówczas dowodzenie Akademią Dyplomatyczną MSZ (2003–2005), a następnie Polskim Instytutem Spraw Międzynarodowych (2005–2007). Wtedy nastąpił drugi rozwód, którego przyczyną była krytyczna ocena instalacji w Polsce tarczy antyrakietowej. Premier Jarosław Kaczyński pozbawił za to Kuźniara funkcji szefa PISM.

Wyjdziemy wtedy, kiedy będzie wychodzić NATO, a NATO być może zostanie tam po Amerykanach

ROMAN
KUŹNIAR

To, co można było zrobić w Afganistanie, to starannie oddzielić terrorystów od reszty Afganistanu, łącznie z talibami, którzy nie są terrorystami i nam nie zagrażają, to nie nasz przeciwnik. To nie są oczywiście ludzie z naszej bajki, ale to nie oznacza, że my ich mamy zwalczać, bombardować ich wsie czy po prostu wydawać sobie licencje na ich zabijanie tylko dlatego, że oni nie są z naszej bajki. I to nie oni przyszli do nas, ale my do nich, więc w związku z tym mają w jakimś sensie prawo do samoobrony – w takim sensie, w jakim ta nasza misja z misji stabilizacyjnej stała się wojenną.

A pańskim zdaniem dlaczego w Polsce nie toczy się prawdziwa dyskusja na temat naszego udziału w tej wojnie?

– Powodów jest kilka. Po pierwsze, niedojrzałość życia publicznego. Dyskurs publiczny zdominowany jest przez kwestie trzecio-, czwartorzędne, sprawy obyczajowe, osobowe, a nie duże, poważne rzeczy. Po drugie, jeżeli chodzi już o wojnę samą czy kwestie bezpieczeństwa, to my staliśmy się niepostrzeżenie wtórni w naszym myśleniu, mówię o takiej średniej ogólnopolskiej wtórni w stosunku do tego, co i jak chcą i myślą Amerykanie.

Powtarzamy bezmyślnie za nimi?

– Tak, a na dodatek my w naszym dyskursie wewnętrznym replikujemy pozytywną oficjalną Stano w Zjednoczonych i górnoludnie idziemy za nią krok w krok. A Polska ma trochę inne interesy i powinna rozwijać suwerennie swój dyskurs w sprawach, w których wspólnie uczestniczymy z Ameryką. I martwi mnie to, że nie staramy się naśladować Amerykanów w tym, co jest dobre, czyli poważnej dyskusji, jaka się tam toczy w kręgach eksperckich. U nas nawet kręgi eksperckie powtarzają myślenie kół oficjalnych w Ameryce, a więc nie ma pola manewru na poważną dyskusję, na inny pogląd. W Ameryce jest zdolność do ogromnej dawki samokrytycyzmu, odnowa myślenia jest tam imponująca. U nas tego nie ma. U nas ktoś, kto myślał inaczej niż prezydent Bush czy Donald Rumsfeld, a więc zwykli troglodcy w tych sprawach, od razu był kwalifikowany epitetem „antyamerykański”, „antyimperialistyczny” – tak, a żeby wyszyszyć. U nas „antyamerykański” znaczy, że godzi w polską rację stanu. To znaczyło już być mało komfortowe dla osób, które chciały myśleć suwerennie.

Elity polityczne bezrefleksyjnie popierały i popierają politykę USA,

Amerykanie destabilizują sytuację, „tłuką szkło” czy „rozlewają mleko”, a NATO jest od tego, żeby to „zbierać”

ale w tym czasie polska opinia publiczna zaczęła się od niej dystansować, może też między innymi dlatego, że ludzie od samego początku nie bardzo wiedzieli, po co tam jedziemy, i chyba coraz mniej to rozumieją. Narasta sprzeciw społeczny wobec naszej wojskowej obecności w Afganistanie. Czy udział w takiej odległej wojnie to jest wspólna sprawa rządzących i społeczeństwa, czy tylko rządzących?

– W społeczeństwie demokratycznym zawsze wspólna. Jeżeli tak nie jest, jeżeli społeczeństwo nie jest przekonane do udziału, to później oczywiście wystawia ocenę rządzącym. Myślę, że to się wzięło z tego, że rzeczywiście rządzący od samego początku uznali, że wojna jest słuszną z założenia i nie dyskutujemy o niej, bo jesteśmy członkiem Sojuszu, bo musimy stać przy Ameryce, bo jeśli chcemy liczyć na to, że Ameryka kiedyś nas będzie bronić itd., itd. W związku z tym mamy w Polsce od przynajmniej 10 lat tendencję polegającą na niewłączaniu społeczeństwa, nawet na trzymaniu go z daleka od spraw bezpieczeństwa pod pozorem, iż to są tak poważne sprawy, doniosłe, że społeczeństwo ich nie zrozumie. Słyszałem i takie opinie polityków rządzących, że gdyby chcieli ulegać opinii publicznej, to byłby to czysty populizm, słuchanie głosu ulicy, na co odpowiedzialny polityk sobie nie może pozwolić. W takim rozumowaniu jest błąd podstawowy. Po pierwsze, w społeczeństwie tkwi bardzo często potężna dawka zdrowego rozsądku, którego nie staje politykom. Politycy boją się zdrowego rozsądku, oni myślą raczej kategoriami doktryn i programów, za pomocą których czasem próbują zorganizować społeczeństwo. Polityk generalnie zdrowy rozsądek uważa za coś bardzo podejrzanego. Po drugie, w społeczeństwie w znacznie większym stopniu niż w kadrze politycznej tkwi pierwinstek etyczny. A nie możemy w podejściu do wojny odseparować się od pierwinstka etycznego, instynktu moralnego. W kadrze politycznej, jeżeli ktoś coś próbuje ocenić przez pryzmat moralny, to natychmiast mówi się o nim, że jest nadto emocjonalny, bo przecież „tutaj potrzebne są: chłodny realizm i racja stanu”. Więc i brak zdrowego rozsądku, i brak respektu dla aspektu moralnego w naszej klasie politycznej również ma wpływ na to, jaki mamy stosunek do wojny, którą tocymy.

Politycy się nie zmieniają, a głos opinii publicznej zawsze będzie dla nich za słaby, więc wyjdziemy z Afganistanu wtedy, kiedy Amerykanie powiedzą, że możemy, albo kiedy oni wyjdą, bo to jest ten rodzaj zależności i braku autorefleksji?

– Myślę, że my wyjdziemy wtedy, kiedy będzie wychodzić Sojusz Atlantyki, a Sojusz Atlantyki być może zostanie tam po Amerykanach. Nie wszyscy w Polsce mają świadomość tego, że tam mają miejsce dwie równoległe operacje. Jedną operacją jest czysto amerykańska i zaczęła się w październiku 2001 roku pod nazwą *Enduring freedom* – „Trwała wolność” – została tylko *enduring* z tej operacji, stała tam są. Myślimy się do niej przyłączyli już w lutym 2002. A kiedy Amerykanie przestali dawać sobie radę przez sposób, w jaki tam się zachowywali, i co spowodowało, że Afgańczycy przeciwstawili się amerykańskiej obecności militarnej, to poprosili NATO o pomoc i wtedy Rada Bezpieczeństwa dała zgodę na operację NATO-wską. Amerykańska operacja ma na celu zwalczanie, wyniszczanie tego, kogo Amerykanie uważają za przeciwników. To znaczy Al-Kaidę i ją wspierających. I teraz misja amerykańska bardzo często destabilizuje sytuację, Amerykanie „tłuką szkło” czy „rozlewają mleko”, a NATO jest od te-

go, żeby to „zbierać”. Jedni przeszkadzają drugim. To jest jeden z powodów, dla którego my tam bez przerwy jesteśmy. Nie wykluczałbym tego, że Amerykanie dojdą do wniosku, że rzeczywiście ich operacja jest kontrskuteczna i trzeba ją zakończyć. I pozostanie tam jedynie misja ISAF, która będzie wyłącznie misją stabilizacyjną. Mam tu na myśli na przykład zgrupowanie wojsk NATO w kilku bazach i nietocznie walk z tymi, którzy będą rządzić, którekolwiek nimi będzie. Zostawia rządzić Afgańczykom. Natomiast w kilku bazach zgrupujemy się, zwłaszcza w sąsiedztwie z Pakistanem, po to żeby nie było przenikania na terytorium Afganistanu z Pakistanu zarówno terrorystów, jak i skrajnych talibów. To byłby pożądanym rozwojem sytuacji, ponieważ pozwoliłoby nam wszystkim uniknąć dalszej wyniszczającej wojny. My w ogóle nie bierzemy pod uwagę tego wyniszczającego aspektu wojny dla samego kraju, dla samych Afgańczyków. Martwimy się o rosołaki i robi się wielkie poruszenie, kiedy zginie nasz jeden żołnierz, natomiast to, że tam giną tysiące ludzi i trwa nieustanna dewastacja tego kraju poprzez działania wojenne, nie dochodzi do świadomości publicznej, a zwłaszcza polskiej. A bierzemy w tym udział.

NATO-wska operacja w Afganistanie komplikuje też stosunki NATO z Rosją.

NATO nie zareagowało ostro po konflikcie Rosji z Gruzją, bo Rosja potrzebna jest logistycznie do prowadzenia operacji w Afganistanie. Czy warto płacić jeszcze tę cenę za Afganistan?

– Myślimy tu dali się trochę Rosji zmanipulować. Bo Afganistan to jest problem bardziej dla Rosji niż dla Ameryki czy dla Polski. Zapominamy, że w latach 90., w drugiej ich połowie, bólem głowy Rosji był konflikt wewnętrzny w Afganistanie. Przenikanie fundamentalistów islamskich także, ale nie wyłącznie, na tereny Tadżykistanu. I dopiero porozumienie rosyjsko-tadżyckie sytuację uspokoiło i ucivilizowało w tym sensie, że 25 tysięcy Rosjan pilnowało granicy afgańsko-tadżyckiej, żeby elementy skrajne nie przenikały na północ. Natomiast Rosjanom udało się, poprzez ten brak rozsądku ze strony Ameryki w tej operacji, odwrócić sytuację. Po pierwsze, to my robimy to, na czym im bardzo zależy – niszczymy fundamentalistów, a po drugie, oni jeszcze w tej operacji uzależniają od siebie NATO, bo potrzebujemy ich zgody na transport przez Rosję. Trzeba było tego nierozumnego Busha i jego administracji, żeby doprowadzić do tej sytuacji. Trzeba to odwrócić. Jeżeli my wyjdziemy z Afganistanu, to będą się musieli tym zająć Rosjanie oraz inne państwa azjatyckie. W ogóle jestem zwolennikiem „azjatykacji” problemu afgańskiego. Dlaczego to ma być ból głowy Zachodu? Niech Zachód zmagają się wyłącznie z Al-Kaidą. Natomiast całokształt sytuacji w Afganistanie powinien być bardziej zmartwieniem Azjatów.

REKLAMA

POPOCKA OFERTA INWESTYCYJNA

OWE PERSPEKTYWY

Sopot

www.sopot.pl/inwestuj

Adres nieruchomości	Rodzaj przetargu	Forma zbycia	Pow.m2 gruntu budynku	Przeznaczenie	Cena wywoławcza /czynsz wyjściowy zł	Wadium zł	Termin przetargu /części jawnej przetargu
Sopot, ul. Sępia 18 i Sępia	ustny nieograniczony	sprzedaż	5.888 900	funkcje usługowe: hotele, pensjonaty, gastronomia, kultura, ochrona zdrowia, funkcje szkoleniowo-konferencyjne	11.000.000,-	600.000,-	29.09.2009 r. godz. 11 ⁰⁰
Sopot, ul. Pułaskiego 6a	ustny nieograniczony	sprzedaż	379 niezabudowana	funkcja mieszkaniowa z dopuszczeniem usług	1.700.000,-	90.000,-	29.09.2009 r. godz. 12 ⁰⁰
Sopot, ul. Boh. Monte Cassino 56a	pisemny nieograniczony	sprzedaż	304 116,91	działalność usługowa w zakresie gastronomii, kultury	7.500,-	7.500,-	01.10.2009 r. godz. 12 ⁰⁰
Sopot, ul. Chrobrego 9a	ustny nieograniczony	sprzedaż	609 niezabudowana	funkcja mieszkaniowa z dopuszczeniem usług nieucieżliwych	2.500.000,-	150.000,-	15.10.2009 r. godz. 12 ⁰⁰
Sopot, ul. 3 Maja 18a	ustny nieograniczony	sprzedaż	1191 do rozbiórki	zabudowa mieszkaniowa z dopuszczeniem usług	4.000.000,-	200.000,-	15.10.2009 r. godz. 13 ⁰⁰

Historia to nie stragan

Tomasz Łubieński znów mierzy się z naszymi wyobrażeniami o przeszłości. Tym razem wziął na warsztat wrzesień 1939 roku. W rozmowie z „Przekrojem” mówi o grzechach II RP, fenomenie ministra Becka i idiotyzmie historycznych rekonstrukcji

ROZMOWA MARCIN SENDECKI

W nowej książce znów występuje pan jako „mizantrop, sceptyk i malkontent”. Czy to zwykła przekora, czy przekonanie, że w naszym myśleniu o przeszłości coś istotnie szwankuje?

– W żadnym wypadku nie przekora. Nie czuję się też sztywnym albo odbrazawiającym. Staram się tylko mówić to, co wydaje mi się prawdą. Nie jestem ani apologetą, ani radykalnym kontestatorem oficjalnej historii, aczkolwiek wydaje mi się, że „oficjalna pamięć” jest trochę zafalszowana i w pewien sposób wmówiona. Znam mnóstwo ludzi, którzy o przeszłości mówią inne rzeczy prywatnie, a inne publicznie, kiedy ulegają dominującemu stereotypowi.

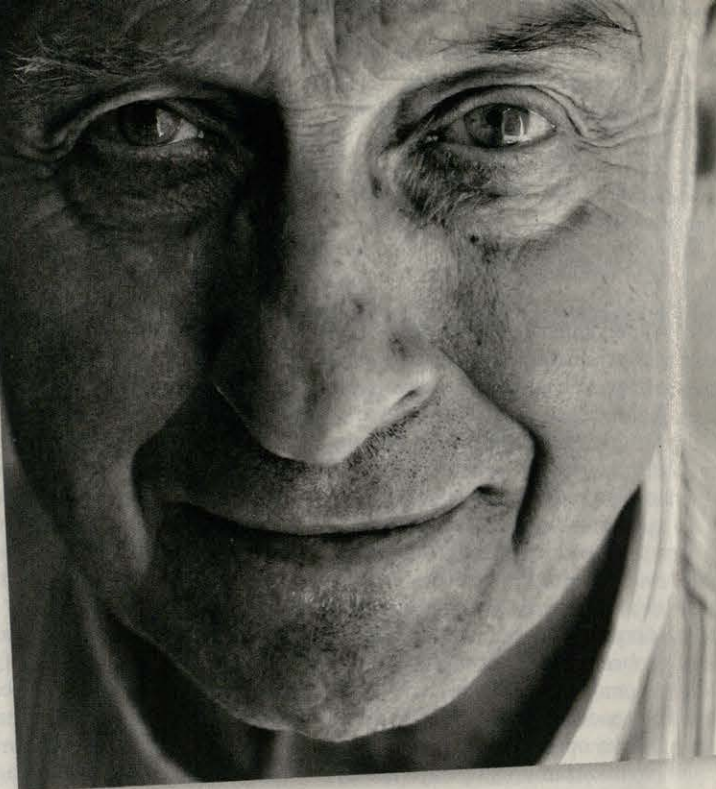
Na czym polegają dysfunkcje naszej oficjalnej pamięci?

– To na przykład narzucanie ludziom przekonania, że bohaterstwo jest czymś łatwym i przyjemnym. Naprawdę jest trudne

i wyjątkowe. Trzeba też pamiętać, że bohaterowie dokonują bohaterzkich czynów, ale kosztą ponoszą nie tylko oni. Są różne pamięci, trzeba to dostrzec i uszanować. Pamięć zbiorowa jest mitem, a kiedy zaczynają majstrować przy niej politycy, zwykle wszystko psują.

Ale żadne społeczeństwo nie może istnieć bez pamięci uwspólnionej. Na tym opiera się przecież każdy system socjalizacji, oświaty.

– Nie chcę dowcipkować, ale dużo zależy właśnie od wieku. Pamięć najbardziej zbiorową mają przedszkolaki. Dorastając, zaczynamy się odróżniać od siebie. Uważam zresztą, że w normalnym społeczeństwie historia staje się ważna głównie w okresach kryzysu czy zagrożenia. W czasach stabilizacji, braku dramatycznych wyborów, historia jest domeną specjalistów i ludzi nią zaciękwionych.



Tomasz Łubieński „1939. Zaczęło się we wrześniu”, Nowy Świat, Warszawa 2009, s. 144, 24,90 zł

Jest oczywiście jakaś baza wspólnej pamięci, ale nie powinna zmuszać do akceptacji takich idiotyzmów jak historyczne inscenizacje. Pół biedy, jeśli to bitwa pod Grunwaldem. Lepiej, gdy młodzi ludzie okładają się mieczami, niżby mieli stać pod budką z piwem albo tłuc się na meczach. Gorzej, jeśli chodzi o powstanie warszawskie. Ostatnio ktoś wpadł nawet na pomysł rekonstrukcji bydgoskiej „krwawej niedzieli” we wrześniu 1939 roku. Wobec takich projektów ja – podejrzany o sztywność – czuję się po prostu zgorszony. Jeżeli ostateczną narodową pamięć mają być kioski, gdzie się dzieciom sprzedaje powstańcze opaski i hełmy, jeśli robi się z wojny popkulturową zabawę, to odbiera się cały tragizm doświadczeniu poprzednich pokoleń.

Wróćmy do Września. Na czym polega doniosłość tamtego momentu w naszych dziejach?

– Mówiąc nieco patetycznie, 1 września i to, że Polska powiedziała Hitlerowi „nie”, można by traktować również jako ekspiację za grzechy II Rzeczypospolitej. Polska była krajem udającym mocarstwo. Dostępnym dla Hitlera było wiele informacji, które stały się wielkim problemem. Krajem, w którym znaczna część społeczeństwa w szokujący sposób upajała się państwowotwórczą propagandą i rojeniami o własnej sile. Nie można też zapomnieć, że – do czasu – szliśmy Hitlerowi na rękę. Prawie nikt się nie zastanawiał, kim on jest, co się dzieje w Niemczech, co tam wyprawiają z Żydami. To pobłażanie dla hitlerizmu dotyczyło zresztą całej Europy. A jednak w rozstrzygającej chwili Beck, odpowiedzialny za błędne kalkulacje wcześniejszej polityki zagranicznej, zachował się w sposób słuszny i wielki, odrzucając niemieckie roszczenia i pomysł wspólnej

akcji przeciw Sowietaom. Dzięki temu wszedł do historii świata, bardziej niż inni polscy bohaterowie, którzy w skali globalnej aż takiej roli nie odegrali.

Zaczęliśmy od sceptycyzmu, a wychodzi na to, że powinniśmy jednak być dumni.

– Polska zachowała się dumnie i honorowo, choć w wyniku wielu zaniechań była kompletnie do tego nieprzygotowana. Miał w tym udział jeden z naszych grzechów głównych – próżność. Byliśmy łasi nawet na komplementy Hitlera, a on to niezwykle sprytnie wykorzystywał do swoich celów. To, że Polacy lubią, żeby ich chwalić, to moim zdaniem polska cecha narodowa, o której się prawie nie mówi. Na przykład cytuję się z satysfakcją wypowiedzi kata powstania von dem Bacha-Zelewskiego, jacy to Polacy byli dzielni. Nie uchodzi przyjmować komplementów od zbrodniarza.

Głównym bohaterem pańskiego eseju okazuje się minister Józef Beck. Dotarł pan do nieznanych źródeł dotyczących jego posunięć.

– Dzięki kontaktom rodzinnym dotarłem do publikowanych dotąd tylko w fragmentach zapisków mojego krewnego, który był dyrektorem gabinetu Becka i jednym z jego najbliższych współpracowników. To niezwykle interesujący tekst napisany przez człowieka o liberalnych przekonaniach i krytycznym wobec zwierzchnika, a z drugiej strony podzielającym różne jego uprzedzenia, pogardę dla Czechów, niechęć do Francji.

Ciekawe były też, oprócz lektur, rozmowy z moimi starszymi kolegami, którzy we wrześniu mieli, powiedzmy, około 10 lat. Któryś z nich powiedział mi, że dla niego Niemcy wyglądali jak Marsjanie:

Mało mówi się o tym, jak bardzo lubimy być chwaleni. Byliśmy łasi nawet na komplementy Hitlera, a on to niezwykle sprytnie wykorzystywał do swoich celów

w długich płaszczach, goglach, na motorach, z radiostacjami. Inwazja nowoczesnego niemieckiego wojska to był prawdziwy szok.

Rozmawiamy parę dni przed uroczystościami z okazji 1 września. Rozumiem, że – w przeciwieństwie do rocznicy powstania warszawskiego – nie ma pan zastrzeżeń do oficjalnych obchodów początku II wojny światowej?

– Powstanie należy obchodzić jako dzień tragedii narodowej i nie wolno czynić z niego jarmarku z różnymi gadżetami. Natomiast 1 września to ważna data w historii światowej, znacznie ważniejsza niż na przykład bitwa grunwaldzka. Uroczyste obchody powinny być uznaniem dla polskiego czynu – samobójczego, ale nie do końca, bo przecież walka była kontynuowana. Wspaniałe było też to, że od razu po klęsce, niezależnie od walk politycznych i rozliczeń, często nieprzyjemnych, a czasem niesprawiedliwych, podjęto pracę nad wyciągnięciem z Września wniosków, nad projektami przyszłej Rzeczypospolitej. Tym także możemy się szczycić.

Tomasz Łubieński, 71 lat, eseista i dramaturg, redaktor naczelny „Nowych Książek”. Największy rozgłos przyniosły mu sztuki teatralne („Koczwisowisko”, „Ostatni”) oraz książki o polskich XIX-wiecznych powstaniach („Bić się czy nie bić?”, 1976) i powstaniu warszawskim („Ani triumf, ani zgon”, 2004)

Dwa wrześniowe wznowienia i nowość

Leszek Moczulski „Wojna polska 1939” (Bellona, I wydanie 1972) – wydanie PRL-owskie szybko usunięte z księgarń. Apologia polityki i armii II RP, z którą, między innymi, polemizuje Łubieński



Apoloniusz Zawilski „Bitwy polskiego września” (Znak, I wydanie 1972) to obszerny i szczegółowy przegląd zmagania z Niemcami pióra byłego żołnierza armii „Pomorie”

Jochen Böhrer „Zbrodnie Wehrmachtu w Polsce” (Znak) – młody niemiecki historyk o wrześniowych mordach dokonywanych przez hitlerowską regularną armię



zrób reklamę internetową

ZAPROONU
KREACJĘ REKLAMY
INTERNETOWEJ FOCUSA,
DO WYBORU:
BILLBOARD
DOUBLEBILLBOARD
RECTANGLE
NAJLEPSZY POMYSŁ
WYŚWIETLIMY NA FOCUS.PL
I NATIONALGEOGRAPHIC.PL

ZWYCIĘZCA
DODATKOWO OTRZYMA:
MINI PROJEKTOR
LED BENQ JOYBEE GPI

DLA OSÓB
WYRÓŻNIONYCH MAMY:

7 X MONITOR
LCD BENQ M2200HD
7 X APARAT CYFROWY
BENQ E1020

WIĘCEJ INFORMACJI
NA WWW.FOCUS.PL

Focus Benq
Poznać i zrozumieć świat
BENQ.PL

NA ZGŁOSZENIA CZEKAMY
DO 30 WRZEŚNIA 2009R.

WYRAŻAM ZGODĘ NA PRZETWARZANIE MOICH DANYCH OSOBOWYCH, T.J. IMIENIA, NAZWISKA, ADRESU PRZEZ ORGANIZATORA KONKURSU: G+J GRUNER+JAHR POLSKA SP. Z O.O. B CO. SPÓŁKA KOMANDYTOWA ZGODNIE Z REGULAMINEM, W CELACH MARKETINGOWYCH ZWIĄZANYCH Z KONKURSEM. A W SZCZEGÓLNOŚCI W CELU OPUBLIKOWANIA WYNIKÓW KONKURSU. UCZESTNIKOWI KONKURSU PRZYSŁUGUJE PRAWO WGLĄDU DO SWOICH DANYCH ORAZ ICH POPRAWIANIA, PODANIE DANYCH JEST DOBROWOLNE, LECZ ICH BRAK UNIEWOLNIA WŁAŚCIE UDZIAŁU W KONKURSIE. DANE OSOBOWE UCZESTNIKÓW KONKURSU BĘDĄ CHRONIONE ZGODNIE Z USTAWĄ O OCHRONIE DANYCH OSOBOWYCH. JEDNOCZEŚNIE OŚWIADCZAM, ŻE PRZYSŁUGUJĄ MI WYŁĄCZNE I NIEODGRANICZONE PRAWA AUTORSKIE DO PRZESŁANEGO MATERIAŁU ORAZ, ŻE WYRAŻAM ZGODĘ NA JEGO OPUBLIKOWANIE, ZGODNIE Z REGULAMINEM. REDAKCJA NIE ODYSŁA NADEŚLANIACH PRA

KONKURS KREATYWNY



Leibovitz jest czarodziejką aparatu. Gisele Bündchen, Michail Barysznikow i Tina Fey w baśniowej sesji reklamującej parki rozrywki Disneya

Jak to możliwe? – oto główne pytanie towarzyszące tej sprawie. Od paru miesięcy zadają je sobie gazety na całym świecie. Powtórzmy więc za innymi: jak to możliwe, że najbardziej znana, doceniana i – co ważne – najlepiej zarabiająca fotografka świata może za kilka dni stracić prawa do własnego bezcennego archiwum? 8 września mija termin spłaty liczącego 24 miliony dolarów długu, który Annie Leibovitz zaciągnęła przed rokiem w nowojorskiej Art Capital Group, instytucji finansowej, której działalność to temat na osobny artykuł. Pieniądże pożyczyla, zastawiając nie tylko domy, ale też prawa do całego swojego dorobku.

Oko do zdjęć to nie głowa do rachunków

Lista osób, które w czasie swojej kariery fotografowała Annie Leibovitz, byłaby encyklopedią największych gwiazd popkultury, choć nie tylko. John Lennon i Yoko Ono, królowa Elżbieta II, Whoopi Goldberg, Jack Nicholson, Blues Brothers, Michail Barysznikow, Bill Gates, Michael Jackson, Woody Allen, Brooke Shields, Barack Obama – to zaledwie garść ważniejszych nazwisk. Nie tylko fotografowała sławnych, ale też praca z nią była i jest obietnicą sławy.

Od dawna nazwisko Annie Leibovitz jest kojarzone przede wszystkim z amerykańskim luksusowym magazynem „Vanity Fair”. To on co roku podpisywał z nią opiewające na dwa miliony dolarów kontrakty, to on zamawiał sesje, które pod względem kosztów i rozmachu coraz częściej przypominały plany filmowe. – Ogień, deszcz, samochody, samoloty, cyrkowe zwierzęta. Miała wszystko, czego tylko zapragnęła – przekonywała niedawno współpracująca z Leibovitz redaktorka „Vanity Fair”. Wszystkie rachunki pokrywał hojny wydawca.

Fotografka żyje też z sesji reklamowych – takich jak ta zrealizowana dla Disneya, któ-



W tym roku słynna portrecistka kończy 60 lat

ra pokazujemy w „Przekroju”. Wygląda bajecznie, prawda? Ale jej kulisy to już twarda rzeczywistość. Pracująca z Leibovitz stylistka, która wielkie gwiazdy zamieniała w postaci z disneyowskich filmów, pozwala ją bowiem do sądu za niezapłacone rachunki, ostatecznie opiewające na przeszło pół miliona dolarów (jeśli robić karierę w Nowym Jorku, to tylko jako stylistka!). Niemal w tym samym czasie inni współpracownicy – między innymi firma wypożyczająca sprzęt oświetleniowy – także zażądali zaległych opłat. W sumie to długi sięgające przeszło 700 tysięcy dolarów. Jeśli dodamy do tego zaległe podatki, inne rachunki i kosztowną, a przy tym nieszczęśliwą renowację dwóch nowojorskich domów, która zmusiła artystkę do zakupu sąsiedniego budynku (remont jej posiadłości naruszył jego fundamenty), okaże się, że Annie Leibovitz rzeczywiście ma poważne kłopoty. Jedni uważają, że nieroztropność to konsekwencja skupienia się w ostatnich latach na sprawach osobistych (śmierć partnerki, wybitnej pisarki →

SHOW-BIZNES MAŁGORZATA SADOWSKA

JEJ SZTUKA I ICH SZTUCZKI

Choć mogłoby to sugerować zdjęcie powyżej, nie zamierzamy tu państwu opowiadać bajek. To raczej będzie historia o końcu pewnej naprawdę pięknej bajki



Jeszcze niedawno Annie Leibovitz przykuwała uwagę wyłącznie swoimi artystycznymi działaniami. Jesień 2008, National Gallery w Londynie. Wystawa „A Photographer's Life” zawitała także do Berlina i Paryża, gdzie okazała się wielkim sukcesem. Już wtedy życie fotografiki nie wyglądało tak pięknie jak na zdjęciach

→ Susan Sontag, narodziny trójki dzieci, śmierć obojga rodziców), inni utyskują na jej rozrzutność. Ale w końcu, jak tłumaczył ostatnio Graydon Carter, szef „Vanity Fair”, wspaniały fotograf nie musi równie wspaniale operować w świecie finansów. W końcu od tego są specjaliści. Biegli w swoim fachu jak Leibovitz w sztuce fotografii.

Rubens pod zastaw

Doskonała znajomość rynku finansów i rynku sztuki – oto główny atut Art Capital Group, jak przekonuje „Przekrój” rzecznik prasowy firmy Montieth Illingworth: – Specjalizujemy się w udzielaniu pożyczek, dla których zabezpieczeniem są obiekty sztuki. Obrazy, rzeźby, antyki, biżuteria, a nawet misie – wszystko, co możesz znaleźć na aukcjach Christie’s czy Sotheby’s. Trafiły do nas między innymi dzieła Picassa, Matisse’a, de Kooninga i Warhola.

Jako że atutem ACG jest także dyskrekcja (moje pytanie o klientów z Polski zostało zbyte milczeniem), musimy poprzestać na zapewnieniu rzeczniczki, że wśród klienteli są galerie, kolekcjonerzy, muzea i nazwiska z pierwszych stron gazet. Oprocentowanie wynosi między 6 a 16 procent. Oficjalnie wiadomo, że pożyczki w ACG brali wdowa po prasowym potentacie Veronica Hearst (zastawiła Rubensa) czy artysta i filmowiec Julian Schnabel (skończyło się procesem o dodatkowe rachunki). Art Capital Group działa na rynku, na którym zawiodą tradycyjne narzędzia finansowe, a że w ostatnich miesiącach zawodziły na całej linii, moje pytanie o wpływ kryzysu na działalność ACG wydaje się oczywiste: – Spodziewamy się, że w tym ro-

To właśnie za sesję dla Disneya Leibovitz nie zapłaciła stylistce. Ta domaga się pieniędzy w sądzie

I kto tu jest prawdziwą gwiazdą? Leibovitz z bohaterami „Seksu w wielkim mieście”

ku pożyczymy w sumie 200 milionów dolarów, w porównaniu z 80 milionami w ubiegłym – tłumaczy Montieth Illingworth. – Im dłużej trwa kryzys, tym bardziej ludzie potrzebują gotówki. Z kolei im więcej sprzedających, tym bardziej spadają ceny.

Przekonała się o tym sama Leibovitz, która jeszcze zeszłej jesieni wystawiła na aukcji kilka swoich fotografii, za które otrzymała dużo mniej pieniędzy, niż się spodziewała. Spanikowany rynek nie był zainteresowany sztuką. Dziś zresztą nadal nie jest, a już na pewno nie każdą pracą i nie każdym artystą. – Na przykład sztuka nowoczesna sprzedaje się dziś gorzej – tłumaczy Illingworth – podczas gdy impresjoniści wciąż mają wielką wartość.

Gdy inni z wyczuwalną niechęcią nazywają ACG „lombardem”, oni wolą mówić o kompleksowych usługach. Kosztownych zapewne, skoro pod koniec lipca do sądu trafił pozew przeciwko Annie Leibovitz między innymi o niezapłacone rachunki na kwotę „setek tysięcy dolarów” związanych z pożyczką. ACG uznał też, że artystka naruszyła warunki umowy, uchylając się od jej wypełnienia. Nie wpuszcza agentów i potencjalnych klientów do mieszkań, utrudnia sprzedaż archiwum (między innymi za plecami firmy podpisała umowę na zdjęcia z agencją Getty Images, która przy okazji też została pozwana przez ACG).

Firma twierdzi, że zgodnie z umową nie musi czekać aż do 8 września ze sprzedażą mieszkań i zdjęć (wycenili archiwum artystki na 50 milionów dolarów). ACG chce, by sąd potwierdził ich prawa do dysponowania prawami do majątku legendarnej fotografi. Czy w tej sytuacji Leibovitz jest w ogóle w stanie uniknąć finansowej katastrofy, a nawet bankructwa?

Jeffrey D. Smith z Press Images, agencji reprezentującej Annie Leibovitz, nie jest skłonny do wynurzeń. Podkreśla,

że stan finansów Leibovitz jest jej prywatną sprawą. – Utalentowani i lojalni ludzie pracują nad tym przypadkiem – zapewnia w rozmowie z „Przekrojem”. – Jesteśmy absolutnie przekonani, że zostaną podjęte przemyślane, właściwe decyzje.

Pytany, co się stanie, jeśli artystka tej klasy co Leibovitz straci kontrolę nad swoim dorobkiem, i czy zagraża to jej artystycznej niezależności, przedstawiciel Press Images nie ma wątpliwości: – Reputacja Annie Leibovitz jako wybitnej portrecistki naszej generacji pozostaje nieskazitelna i nienaruszona.

– Wielkie dzieła, jeśli tylko cię na nie stać – zaznacza Montieth Illingworth – zawsze będą wiele warte, niezależnie od czasów.

Chociaż w tej jednej sprawie przedstawiciele obu stron się zgadzają. Tylko czy dla Annie Leibovitz to jest rzeczywiste dobro wiadomo?



Annie Leibovitz została matką w wieku 51 lat. Oprócz Sarah Cameron ma jeszcze bliźniaczki Susan i Samuelle urodzone przez surogatkę

NOWE RADIO



NASTAW SIĘ NA CHILL OUT



Słuchaj na

- Warszawa 106,8 FM • Gdańsk 92,0 FM
- Gdynia 101,1 FM • Katowice 93,6 FM
- Kraków 101,0 FM • Koszalin 106,9 FM
- Łódź 89,6 FM • Olsztyn 91,9 FM
- Poznań 101,6 FM • Rzeszów 96,4 FM
- Szczecin 104,9 FM • Wrocław 106,9 FM
- Zielona Góra 92,9 oraz 98,4 FM

www.chillizet.pl



ZAWAŁ MIĘŚNIA HOUSE'A

U House'a nie może odbyć się tak po prostu, więc i o przyczynach jego własnej choroby dowiadujemy się bardzo okrutną drogą. Okazją jest wykład, podczas którego doktor przedstawia studentom rzekomo fikcyjny przypadek. Z czasem orientujemy się, że House opowiada o samym sobie. Dopadł go dość rzadki przypadek tętniaka tętnicy udowej, który spowodował zablokowanie naczynia krwionośnego i w konsekwencji zawał mięśnia. Sprawa może być i była do uratowania, gdyby nie ignorancja lekarzy, którzy uznali, że to pospolity uraz. Zwłoka doprowadza do obumarcia mięśnia czworogłowego uda. Rozsądnym wyborem byłaby amputacja nogi, jednak House nie zgadza się na nią. Ostatecznie, wbrew jego woli, martwy mięsień zostaje usunięty, a House zostaje z wielką dziurą w nodze i pretensją do całego świata.

Dr House stawia diagnozę

SERIALE PIOTR STANISŁAWSKI
OLGA WOŹNIAK

We wrześniu w kilku polskich stacjach będziemy oglądać piąty sezon kultowego serialu „Dr House”. Chcesz być na czasie? Zajrzyj do medycznego archiwum House'a. Zweryfikuj diagnozy genialnego lekarza

s.1 o.6 CHOROBA WILSONA

Schizofrenia i do tego alkoholizm to nie najradsze choroby (pierwsza dotyka 0,4-0,6 procent populacji, druga około 16 procent). Łatwo więc pomylić je z rzadszą (występującą u jednej na sto tysięcy osób) chorobą Wilsona. Jak nie dać się nabrać? Wy-



starczy spojrzeć pacjentowi głęboko w oczy. Wokół tęczówki dojrzymy pomarańczowobrunatny pierścień, który świadczy o złym metabolizmie miedzi. Na skutek uszkodzonego genu o nazwie *ATP7B* organizm nie radzi sobie z wydalaniem tego metalu. Dochodzi do uszkodzenia wątroby, nerek, mózgu. Skutek? Drżenie rąk, ślinotok, kłopoty z równowagą, wzmożone napięcie mięśni, zaburzenia mowy i polykania, ruchy mimowolne. By zapisać na chorobę Wilsona, trzeba mieć pecha – co setna osoba jest nosicielem wady. Kiedy spotkają się dwie takie osoby i postanowią mieć dziecko, istnieje 25 procent szans, że latorośl zachoruje. Niestety, najczęściej rodzice dowiadują się o chorobie dziecka dopiero około jego 10. roku życia (a często dopiero około 20.), bo wtedy pojawiają się pierwsze objawy. Podobny czas ujawnienia się wybrała sobie schizofrenia.

s.1 o.17 SEKSOMNIA (ZESPÓŁ MORFEUSZA)

Choć to spektakularny problem medyczny, w serialu zagrał jednak rolę drugoplanową. Doktor House rozpoznaje tę przypadłość u pacjentki, która zgłasza się do przychodni. Ujmując rzecz w skrócie, seksomnia (czy też – jak po polsku nazywa ją profesor Lew-Starowicz – zespół Morfeusza) to lunatykowanie w celach seksualnych. Osoby cierpiące na tę przypadłość nie zdają sobie z niej sprawy. Objawy pojawiają się mniej więcej 30-40 minut po zaśnięciu,

w szczytowym momencie snu wolnofalowego (NREM). Media co jakiś czas opisują podobne przypadki, zwłaszcza gdy dotyczą one gwałtów, których dopuścili się przez sen dotknięci seksomnią nieszcześliwcy (sądy uniewinniają sprawców). Skrajną odmianą seksomni jest somnifilia. To przeżywanie satysfakcjonujących stosunków seksualnych tylko podczas pozorowanego snu lub tylko ze śpiącą osobą.

Osoby zainteresowane szczegółami tej przypadłości odsyłamy do blogu poświęconego seksomni: seksomnia.blox.pl.

s.2 o.3

PAPUZICA

Uroczą doktor Cuddy ma wyrzuty sumienia – po upadku z jej dachu u młodego robotnika pojawiają się objawy nienormalnego krzepnięcia krwi, które doprowadzają do amputacji dłoni mężczyzny. Po długim (jak zawsze) śledztwie okazuje się, że mężczyzna pracował przy walkach kogutów. To potwierdza podejrzenia House'a – pacjent cierpi na ornitozę zwaną papuzicą.

Choroba nie jest częsta – rocznie występuje w USA kilkanaście jej przypadków, choć część z nich może nie zostać rozpoznana, bo objawy przypominają zapalenie płuc. Zarazić się można, wdychając rozdrobnione, unoszące się w powietrzu ptasie odchody, wraz z którymi do płuc trafia bakteria *Chlamydia psittaci*. Dziś śmiertelność nie przekracza zwykle jednego procentu zachorowań, ale przed wynalezieniem antybiotyków umierał nawet co piąty chory. Amerykanie mają wyjątkową traumę – w 1929 roku

wybuchła u nich epidemia choroby wywołanej masowym importem przeznaczonych na prezenty gwiazdkowe papug. Później armia USA prowadziła badania nad wykorzystaniem ornitozy jako broni biologicznej.



s.2 o.13 ZESPÓŁ NIEWRAŻLIWOŚCI NA ANDROGENY

Co to znaczy mieć pleć? Dla genetyka oznacza to posiadanie odpowiednich genów. Geny w naszych komórkach opakowane są w paczki – chromosomy. W każdej komórce naszego ciała mieści się 46 chromosomów. 23 pary po 2 identyczne egzemplarze: jeden garnitur pochodzący od matki, drugi od ojca. W każdej komórce ten sam zestaw. Ten schemat dotyczy

kobiet. W chromosomach mężczyzn w 10. parze, gdzie u każdej kobiety znajdują się dwa chromosomy X, mężczyźni mają jeden X i jeden Y. Tyle teorii. Zdarza się jednak, że mimo męskiego wyposażenia (XY) dana osoba na zewnątrz wygląda jak kobieta. Dlaczego?

Męskie geny włączają się na etapie płodowym. Doprowadzają do wykształcenia się jąder, które zaczynają produkować testosteron. Ten hormon ma za zadanie wyrzeźbić męską

pleć. Czasami zdarza się tak, że z jakichś powodów organizm pozostaje niewrażliwy na działanie testosteronu. Uszkodzone mogą być receptory odpowiedzialne za jego wiązanie. Proces kształtowania się chłopca nie może być zakończony. Powstaje dziewczynka. W jamie brzusznej ma zwykle jądra. Jest bezpłodna. Przypadek taki (i stąd zapewne zaczerpnęli pomysły scenarzyści) opisany został w bestsellerze Natalie Angier „Kobieta. Geografia intymna”.

s.3 o.2 CHIMERYZM

Nie wiadomo, czy nie przeskoczyliśmy z „Dr. House’a” na „X-files”. Po pierwsze, akcja kręci się wokół historii chłopca mającego halucynacje, w których porywają go kosmici. Po drugie, stopień medycznego nieprawdopodobieństwa osiąga rzadkie dla serialu wyżyny.

Zacznijmy jednak *per rectum*. Końcowa diagnoza brzmi „chimeryzm”. To przypadek, gdy w ciele jednego człowieka spotykają się komórki o różnym DNA. Przyczyną jest połączenie się we wczesnym stadium ciąży dwóch zarodków. Medycznie jest to całkiem prawdopodobne, choć nieczęste. Efekty bywają zaskakujące

– wyniki testów medycznych mogą być różne zależnie od tego, jakie komórki akurat zostaną pobrane. No i ta końcowa operacja mózgu – House radzi sobie doskonale z neurochirurgią o najwyższym stopniu złożoności. Doktora nagradzamy oklaskami, scenarzystów – zgnilymi pomidorami.



s.3 o.14

WRODZONA OBOJĘTNOŚĆ NA BÓL

Tu na pierwszym miejscu jest CIPA. Chodzi oczywiście o *Congenital Insensitivity to Pain with Anhidrosis*, czyli wrodzoną obojętność na ból z anhidrozą. Rzadka choroba genetyczna daje dziwny efekt – pacjent nie odczuwa bólu. Zwykle niezakłócony pozostaje dotyk, choć zdarza się w nie-śledzenie odczuwania tempe-

ratury. Na dobitkę większość chorych nie wydziela też potu (to ta anhidroza). Może brzmi to nieźle, ale życie z czymś takim do miłych nie należy. Nagminnie jest odgryzanie sobie koniuszka języka czy niezauważanie skaleczeń czy złamań. W końcu ból to ważny system ostrzegawczy.

CIPA to choroba najczęściej pojawiająca się w niewielkich, zamknię-

tych społecznościach izolowanych genetycznie. Stosunkowo częsta jest wśród Żydów aszkenazyjskich, ale prawdziwi rekordziści to mieszkańcy Gällivare – osady na północy Szwecji. Z 8500 mieszkańców na obojętność na ból cierpi tu 40 osób, choć tu akurat zachowane jest wydzielenie potu. Dla porównania w USA zidentyfikowano 60 cierpiących na CIPA, a w Japonii – 300.



s.4 o.5 ZESPÓŁ LUSTRA GIOVANNINY, ZWANY TEŻ ZESPOŁEM ZELIGA

Wow! To zrobiło na nas wrażenie. Odcinek z pacjentem cierpiącym na niezwykle rzadzą amnezji, z powodu której nie pamięta sam siebie (i by jako tako funkcjonować w społeczeństwie, musi przejmować zachowania otaczających go ludzi), miał premierę w USA w październiku 2007 roku. Tymczasem zespół lustra opisano po raz pierwszy w piśmie „Neurocase” w lutym tego samego roku. Przypadek przedstawił zespół włoskich badaczy, którym kierowała Giovannina Conchiglia. Badacze nazwali go zespołem Zeliga, nawiązując do filmu Woody’ego Allena o tym tytule. Leonard Zelig (Woody Allen) jest człowiekiem, który upodabnia się do otaczających go osób.

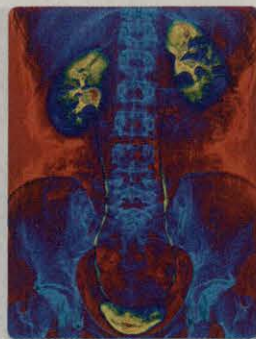
Podobnie czynił pacjent włoskich neurologów – 65-letni mężczyzna przeszedł atak serca, którego konsekwencją było niedotlenienie mózgu: zniszczone zostały fragmenty płatów czołowych i część prawego płata skroniowego kory mózgowej. W rezultacie pacjent stracił pamięć autobiograficzną i zdolność tworzenia świeżych wspomnień. Do tego doszła anosognozja – zaburzenie neurologiczne polegające na niezda- waniu sobie sprawy z własnej choroby. Lekarze przeprowadzili kilka eksperymentów, by zbadać ów niezwykle rzadki przypadek. W wyniku badań odkryli, że pacjent zupełnie nieświadomie kopiuje zachowania otaczających go osób, niejako wchodzi w ich rolę. W szpitalnej kuchni zachowywał się jak kucharz (i twierdził, że nim jest), w towarzystwie lekarzy stawał się lekarzem.

s.4 o.12 WĘDRUJĄCA NERKA

To prawdziwy rekord: u Roz – producentki heavymetalowej, która niedawno przeszła na chasydyzm – brygada House’a podejrzewała 20 różnych chorób, zanim sam House (a jakże) doszedł do właściwej diagnozy – opadająca (lub wędrująca) nerka. Co ciekawe, przypa-

dłość ta niechętnie uznawana jest przez medycynę. Polega na słabym umocowaniu nerki, która u stojącego człowieka obsuwa się o dwa-trzy kręgi. Efekt – silny ból, zagięcie moczowodu i krew w moczu.

Kłopot w tym, że u wielu pacjentów, którzy skarżą się na podobne dolegliwości, nie sposób stwierdzić wyraźnego przesunięcia nerki,



a przeprowadzone operacje „mocowania” narządu nie dają efektu. O ile więc przed wojną wędrująca nerka była bardzo częstą diagnozą, o tyle dziś podchodzi się do niej bardzo ostrożnie.

W natłoku diagnoz scenarzyści zaliczyli wpadkę. Na samym początku odcinka Roz łamie nogę. Jednak później, przez cały odcinek, nie ma jej nawet unieruchomionej.

s.4 o.4

ZATRUCIE SPORYSZEM

Praca z nieboszczykami potrafi być niebezpieczna. Zwłaszcza kiedy pewnego dnia ożywają i usiłują cię zgwałcić. Nie, to nie film o zombi. Takie halucynacje miała jedna z pacjentek doktora House’a. Po wielu perturbacjach zespół genialnego lekarza diagnozuje u kobiety zatrucie sporyszem. To przetrwalniki grzyba (bulawinki czerwonej), który atakuje niektóre zboża (na przykład żyto).

Sporysz zawiera wiele trujących alkaloidów. W czasach kiedy nie umiano oczyszczać mąki, sporysz często występował jako domieszka pieczywa, co stało się przyczyną tak zwanego ognia świętego Antoniego: halucynacji, przykurczy kończyn, martwicy tkanek. W średniowiecznej Europie powstało wiele zakonnych szpitali opiekujących się ofiarami tej przypadłości (w 944 roku na tajemniczą chorobę zmarło 40 tysięcy osób). Wyjaśnił ją w 1670 roku francuski lekarz, doktor Thullier. Zauważył, że zapadają na nią biedacy jedzący żytni chleb. Ci, których stać było na jedzenie mięsa i chleba pszennego, nie chorowali. Zidentyfikował on sporysz jako źródło trucizny. Nie przeszkodziło to jednak na przełomie 1691 i 1692 roku skazać ją jako czarownicę mieszkankę miasteczka Salem w USA, które – prawdopodobnie na skutek zatrucia sporyszem – zaczęły cierpieć na konwulsje i twierdzić, że zostały zaczarowane.

DIAGNOZA

W medycynie jak w kinie

Dla wszystkich, którzy od września znów (a może dopiero) zaczną śledzić w polskiej telewizji losy doktora House’a, pierwszy odcinek piątego sezonu komentuje doktor nauk medycznych Wojciech Feleszko z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego



Ten odcinek serialu jest dość prawdopodobny medycznie, choć intryga była bardzo zawikłana. Do szpitala przywieziono kobietę, której wydawało się, że chodzą po niej mrówki. Stwierdzono u niej anemię, niskie ciśnienie i ból brzucha. Tymczasem nikt nie zrobił jej USG brzucha ani nie spytał o miesiączkowanie. Są to kwestie podstawowe – prawdopodobnie już wcześniej zaszeregowaliby możliwość ciąży pozamajacicznej, która zostaje wykryta o wiele później. Co więcej, kobieta zaczyna krwawić z odbytu – i tutaj zgodnie z zasadami przeprowadza się kolonoskopię, ale wciąż nie USG brzucha! Do USG skłania lekarzy dopiero pozytywny wynik testu ciąży.

Do USG skłania lekarzy dopiero pozytywny wynik testu ciąży. I tak jednak oglądają wtedy tylko macicę. Nikomu nie przychodzi do głowy ciąży pozamajacicznej, która nie jest takim rzadkim medycznie zjawiskiem. Statystyki amerykańskie notują sto tysięcy przypadków rocz-

nie, z czego przeważająca większość lokuje się w jajowodzie, a tylko nieznaczny odsetek w jamie otrzewnowej. Wpada na to dopiero doktor House. Na USG znajduje płód przy-

piony do ściany jelita. Wracając jednak do halucynacji, które stały się powodem całego zamieszania na początku: wiadomo, że kobieta dużo podróżuje. Jednym z pierwszych podejrzanych powinny być choroby tropikalne (egzotyczne). Tymczasem zespół diagnostyczny wyklucza taką możliwość wyłącznie na podstawie braku gorączki. Nikogo nie zaintrygowały też zmiany na skórze nóg pacjentki. Wzięto je za siniaki, mimo że nie zachowywały się jak typowe siniaki – nie obserwowano typowej ewolucji kolorystycznej krwiaka. I kolejny problem, który powtarza się we wszystkich odcinkach „Dr. House’a”: zespół diagnostyczny wpada na jakiś pomysł i podąża bez zastanowie-

nia tą ścieżką; jeśli to nie wypala, szuka kolejnego pomysłu. W rzeczywistości rzecz wygląda tak, że w przypadku trudnych i skomplikowanych pacjentów wykonuje się równoległe wiele badań mogących wskazać kierunek dalszych poszukiwań. Porównałbym to do zarzucania wielkiej sieci: jeżeli się coś złapie (uzyska się wynik mogący sugerować konkretną chorobę), wówczas konsylium lekarskie podąża tym tropem.

Po operacji usunięcia ciąży pozamajacicznej pacjentka wciąż ma bardzo niskie ciśnienie, dołączają do tego inne objawy neurologiczne, na przykład bardzo częste mruganie. Lekarka sugeruje stwierdzenie rozszanie – chorobę autoimmunologiczną. Chce podać interferon, ale chora nagle dostaje gorączki. A więc to zakażenie. Zespół uważa, że podczas operacji coś pominięto. Na wideo rejestrującym zabieg lekarze dostrzegają na jelicie zmianę, którą biorą za nerwiaka. Trzeba go wyciąć. I tu pojawia się całkowita fikcja – nikt nie podejmuje się tak bolesnego zabiegu bez znieczulenia! Jeśli pacjent po operacji byłby na tyle niestabilny, że niemożliwe byłoby podanie znieczulenia ogólnego, zabieg przeprowadzono by w znieczuleniu miejscowym lub podpajęczynówkowym. Operacja „na żywca” nie wygląda prawdopodobnie. Do tego przeprowadzają ją lekarze, którzy nie mają doświadczenia w chirurgii onkologicznej. Tutaj scenarzystów znacznie poniosła fantazja.

Wycięta zmiana nie okazuje się nerwiakiem. Może to amyloidoza? – dywagują lekarze. – Albo rak? Na ekranie komputera pokazuje obraz zmiany onkologowi, doktorowie Wilsonowi, a ten stwierdza chłoniaka. W rzeczywistości tego typu tkankę oglądałby histopatolog, lekarz z dużym doświadczeniem w wykrywaniu takich zmian. Nie podano by pacjentowi chemioterapii na podstawie „wydaje mi się” jednego onkologa. Ostateczną diagnozę stawia doktor House – to trąd lepromatyczny. Siniaki na nogach okazują się ranami prątkowymi, a lekarz tłumaczy pacjentce, że jej twarz wyglądała młodo, bo to taka odmiana trądu. To jeszcze możliwe – jest kilka typów trądu. Jednak wygląda na to, że na nogach jest jedna odmiana choroby, a na twarzy druga. Ładną cerę kobiety można by też próbować tłumaczyć stadium choroby, ponieważ w początkowym stadium trądu skóra może być gładka i lśniąca, ale byłaby taka i na nogach, i na twarzy. Do tego choroba ta objawia się głównie utratą czucia, szczególnie w palcach nóg i rąk. Tymczasem u tej kobiety nic takiego nie wystąpiło. Były natomiast halucynacje, od których wszystko się zaczęło, a to ekstremalnie rzadki objaw trądu. Czy to jednak nieprawdopodobne? No cóż, medycyna nie jest nauką ścisłą, a nietypowe objawy nawet typowych chorób nie raz zaskakują lekarzy. Jak mawiali moi nauczyciele: w medycynie jak w kinie – wszystko jest możliwe. □

TOCZEŃ [CZYLI LUPUS]

Jakie zdanie pada najczęściej z ust zespołu doktora House’a podczas diagnozowania? Stali widzowie nie będą mieć wątpliwości: „To może być tocień” (w oryginale: *It could be lupus*). Twórcy serialu odwołują się do tego w licznych aluzjach i żartach (na przykład w 1. odcinku 4. sezonu, kiedy w diagnozowaniu House’owi pomaga przygodny sprzątac. On także wypowiada sakramentalne: „To chyba tocień”, tłumacząc, że chorowała na niego jego babcia). Czym jest tocień? To jedna z bardziej zagadkowych chorób układu odpornościowego. Nagle z niewyjaśnionych powodów ludzki organizm zaczyna zwalczać własne tkanki. Na tocień zapada 40–50 osób na 100 tysięcy. Znacznie częściej chorują kobiety i pewnie dlatego w jednym odcinku, w którym ktoś wreszcie (ku uciesze House’a) zachorował na tocień (sezon 4., odcinek 8.), pacjentem jest mężczyzna.

Nerka zaatakowana przez układ odpornościowy

s.5 o.17

ZESPÓŁ PŁATA CZOŁOWEGO

Na koniec nie możemy się powstrzymać, by nie skomentować rozważań, jakie snuł zespół House’a w odcinku nieemitowanym jeszcze w Polsce. Pacjentem jest mężczyzna szczerzy. Szczerzy do bólu, daleko poza granice przyzwoitości. Zmiana jego charakteru nastąpiła nagle i to sprawiło, że asystent House’a Kutner przywołał przypadek niejakiego Phineasa Gage’a, któremu na sku-

tek wypadku metrowy pręt o średnicy trzech centymetrów wbił się pod lewą kość policzkową, przebił płat czołowy mózgu i wyleciał górami czaszki. Mężczyzna po zadziwiająco krótkiej rekonwalescencji wrócił do pracy. Na skutek uszkodzenia płatów czołowych stał się wulgarny, niesolidny i porywczy. Pacjent House’a też doznał zmian osobowości na skutek zaburzeń funkcjonowania płata czołowego. W tym bowiem miejscu w mózgu mieszczą się nasza moralność i uczucia wyższe. Na ile jednak przypominał Gage’a? Ocenicie sami.

Metacuda

Czapka niewidka to bajka? Niekoniecznie. Wojsko pracuje właśnie nad mundurem niewidką

Zazwyczaj nauka zachowuje się bardzo statecznie – od znaczącego odkrycia do jego praktycznego zastosowania mija kilkadziesiąt lat, co najlepiej widać po wieku noblistów. Bywają jednak efektowne wyjątki, a jednym z najnowszych jest dziwaczna dziedzina fizyki zajmująca się metamateriałami.

Uczciwy materiał zachowuje się w przewidywalny sposób – odbija (jak metal) lub załamuje (jak woda) światło i inne promieniowanie elektromagnetyczne. Dobrze to widać, gdy patrzymy na pływające w wodzie sieje (mniem). Jeśli zechcemy upolować jedną (uwaga, okres ochronny od 15 października do 31 grudnia) za pomocą małego harpuna, musimy pamiętać, by nie celować w obraz ryby, który widzimy, ale nieco bliżej nas. To ważne, bo fale światła, przekraczając granicę powietrza i wody, zmieniają prędkość, co daje efekt załamania i przesunięcia obrazu.

A co działałoby się, gdyby w jeziorze zamiast wody znajdował się jakiś metamateriał (biedne sieje)? Załamanie światła następowałoby w odwrotnym kierunku i widzielibyśmy rybę pływającą... nad powierzchnią!

Czego nie widać, nie istnieje

Choć teoretycznie istnienie metamateriałów przewidziano 40 lat temu, to do sprawy poważnie zabrano się dopiero przed dekadą. Szybko osiągnięto zadziwiająco dobre efekty – udało się zbudować system odchylający promieniowanie elektromagnetyczne w kierunku przeciwnym od normalnie występującego w przyrodzie. No właśnie – system. Dziwne właściwości metamateriału nie są bowiem efektem jego budowy cząsteczkowej, ale szczególnych struktur i kształtów, jakie tworzy.

By zmusić falę do zmiany zwyczajów i załamania się w nietypowym kierunku, trzeba bowiem zbudować dla

niej specjalne „pułapki”, a ich rozmiar dostosować do wielkości ofiary. W przypadku promieniowania widzialnego, mającego falę o długości od 380 do 780 nanometrów, pułapki te muszą mieć około 250 nanometrów. Do ogłupiania mikrofal używa się struktur mających kilka centymetrów, dla fal radiowych potrzeba by konstrukcji kilkumetrowych. Odpowiednio układając takie pułapki, można pokierować falą wedle życzenia – raz uchwyciona będzie nam posłuszna dopóty, dopóki jej nie wypuścimy.

Przypomina to nieco zapanowanie nad falowaniem morza. Jeśli nie chcemy, by fale wypłukiwały brzeg, musimy je rozbić, by osłabić ich energię. Między szczytami morskiej fali jest zwykle kilka metrów. By nad nią zapanować, trzeba zbudować konstrukcję o zbliżonych rozmiarach. Mogą to być rozbijające w postaci betonowych słupków o średnicy kilkudziesięciu centymetrów. Rozmiar ma zasadnicze znaczenie, bo między cienkimi patyczkami fale przepłyną, a wielometrowe molo rozbiją równie skutecznie jak brzeg, który mamy ochronić.

Doświadczenia z metamateriałami naukowcy zaczęli od manipulowania mikrofalami, bo najłatwiej jest pracować na obiektach mających kilka centymetrów. Pierwsze wyraźne sukcesy odnieśli w 2004 roku, a już rok później udało się je powtórzyć dla fal światła widzialnego.

Wszystko pięknie, ale obiecywaliśmy praktyczne zastosowania tego wszystkiego. Proszę bardzo – choćby niewidzialność. Uchwyconą w pułapki

Takie kształty pozwalają łapać światło w pułapki

W szklence po lewej – normalna woda. Po prawej wódek, jaki zobaczylibyśmy, wlewając do szklanki ciecz o ujemnym współczynniku załamania światła – metacuda

NOWA KOLEKCJA!

SCIENCE FICTION

THE BEST OF

25

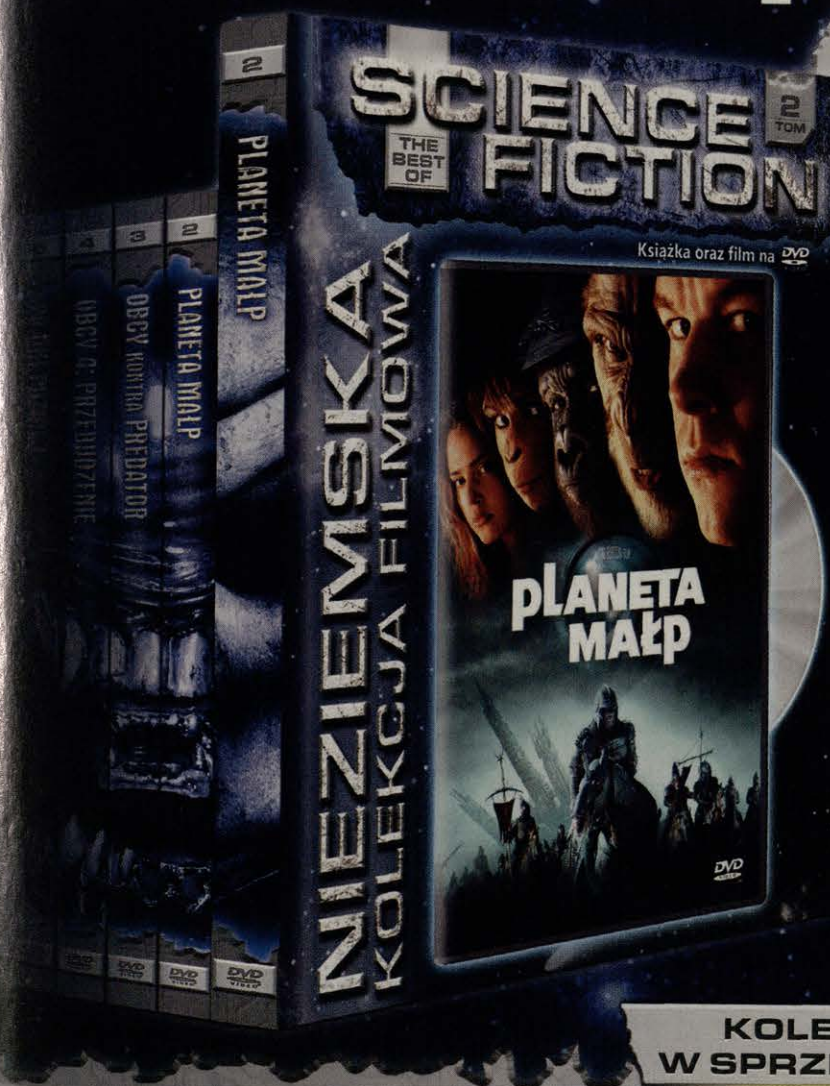
KSIAŻEK

Z KULTOWYMI FILMAMI NA DVD

PLANETA MAŁP

2. TOM JUŻ W

KIOSKACH!



3. TOM

OBCY KONTRA PREDATOR

W KIOSKACH JUŻ 3 WRZEŚNIA

KOLEJNE TOMY KOLEKCJI W SPRZEDAŻY CO 2 TYGODNIE!

WWW.KOLEKCJAFILMOWA.PL/SF

PATRON MEDIALNY: Radio 26T

KORZYSTAJ

PIWO
SREBRO
KOMPUTERY
A ZARAZ OBOK
PYTANIA



Puszka wysokiej rozdzielczości to pomysł marki Lech. Opakowanie z nadrukiem o niespotykanej jakości było dostępne podczas Przystanku Woodstock

ELEKTRONIKA

Nokia i komputery

Czyżby fińska firma miała przestać kojarzyć się z komórkami? Ciekawe, czy wyjdzie jej to na zdrowie

GORĄCY
GADGET

Pierwszy
KOMPUTER
Z LOGO NOKIA

NIE ZNAMY jeszcze szczegółów, ale na pokładzie będzie procesor Atom, łącza G/ HSPA i Wi-Fi oraz odbiornik A-GPS. Producent obiecuje też 12 godzin życia baterii. Oby

Nokia Booklet
będzie pracować
pod kontrolą systemu
Windows

Nokia już od dawna tęsknie patrzy w stronę rynku komputerów przenośnych. Dowód – model N95 po premierze kazało tytułować „komputerem multimedialnym”, tłumacząc, że to znacznie więcej niż telefon

i że zasługuje na taką nazwę. Po tem szczęśliwie wycofano się z tej koncepcji, ale do czasu. W mrocznych kazamatkach, gdzie trudzą się projektanci fińskiej firmy, hasło „komputer Nokia” pozostało żywe. I proszę – oto na rynku pokazuje się taka maszyna. Nazywa się No-

kia Booklet 3G i jest nowoczesnym netbookiem. Na razie nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów, ale ciekawa wydaje się integracja maszyny z usługami Ovi, które mają ambicję prześcignięcia apple'owskiego AppStore. Możemy też korzystać z potężnych zasobów No-

kia Music Store, więc i iTunes może czuć się zagrożony.

Cena maszyny znana będzie 2 lub 3 września i wtedy tak naprawdę dowiemy się, czy Nokia Booklet okaże się drogim gadżetem dla nielicznych czy poważnym graczem na rynku netbooków.

System posrebrzania mężczyzn

Nowa linia kosmetyków wykorzystuje działanie jonów srebra

DZIĘKI NOWEJ SERII DEZODORANTÓW Nivea For Man Silver Protect możesz się posrebrzyć. Całkiem dosłownie, bo tworząc mieszanki użyte w tej linii kosmetyków, firma wykorzystwała bakteriobójcze działanie jonów srebra. Właści-

wości pierwiastka wykorzystuje się dziś m.in. jako element środków opatrunkowych, w miejscach wymagających szczególnej sterylności czy nawet w sprzęcie AGD. A gwoździ wyjaśnienia – nie będziesz się błyszczał.



TEŻ
PYTANIE!

Sto pytań, które zadaliśmy w „Przekroju” nr 31, wywołało lawinę pytań czytelników. Wiąż możecie jeszcze przysłać swoje (na adres: nauka@przekroj.pl), bo przedłużamy termin ich przyjmowania do 31 sierpnia. Potem nagrodzimy 15 najciekawszych. A na razie mała próbka wraz z odpowiedziami

1. CZY GDYBY OSOBA NIEPALĄCA ZACZĘŁA STOSOWAĆ PASTRY ANTYNIKOTYNOWE, UZALEŻNIŁABY SIĘ OD NIKOTYNY?

Nie chcieliśmy sprawdzać na sobie, więc spyaliśmy eksperta. – W potocznym, tradycyjnym rozumieniu uzależnienie występuje wtedy, gdy ktoś bez czegoś nie potrafi żyć – wyjaśnia Przemysław Bieńkowski z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. – Na pierwszym planie jest aspekt psychicz-

ny. A tego raczej nie da się uzyskać za pomocą plasterów, bo uwalniają one nikotynę zbyt wolno. Tymczasem osobom palącym czy pijącym alkohol jest dobrze, gdy stężenie substancji uzależniającej rośnie szybko. Ale jest jeszcze inne rozumienie uzależnienia, popularne wśród lekarzy (choć nie psychiatrów): uzależnienie somatyczne. Oznacza ono, że organizm przyzwyczaja się do jakiejś substancji i jej nagłe odstawienie może wywołać zespół abstynencyjny – przejściowy problem z prawidłowym funkcjonowaniem. Tak rozumiane uzależnienie można by pewnie wywołać przy użyciu plasterów, zwłaszcza przy dużych dawkach. Nikotyna pobudza serce do szybszej pracy, podnosi ciśnienie. Gdy zdrowy człowiek przykleja sobie nikotynowe plastry, to organizm próbuje temu przeciwdziałać, podejmując działania odwrotne: rozszerza naczynia i spowalnia pracę serca. Jeśli po pewnym czasie nagle zabraknie plastra, to organizm nie od razu się zorientuje i dalej będzie obniżał ciśnienie. U takiej osoby mogą wystąpić objawy odstawienne: będzie ospała i spowolniona. Ale uzależnienie psychiczne raczej nie wchodzi w grę.

2. CZY MOŻNA CAŁKOWICIE UWOLNIĆ SIĘ OD BAKTERII I ZARAZKÓW?

Może by się dało, ale oznaczałoby to szybką śmierć takiego sterylne delikwenta. W całkowicie zdrowym człowieku i na nim żyje kilka razy więcej bakterii niż jego własnych komórek ciała. Szacuje się, że jest tego razem ponad dwa kilogramy. Bakterie nie tylko pomagają

nam w trawieniu niektórych substancji (na przykład celulozy i laktozy) i wytwarzają dla nas witaminy (między innymi K, B7 i kwas foliowy). Ich ciągły kontakt z naszym organizmem reguluje pracę układu odpornościowego. Jedną z teorii tłumaczących rosnącą liczbę alergików mówi, że dzieje się tak z powodu coraz rzadszego kontaktu naszego organizmu z zarazkami i pasożytami.

3. SKĄD SIĘ BIERZE PIASEK (NA BUDOWIE I W OGÓLE)?

Pierwsza odpowiedź jest prosta: na budowę piasek zwykle przewozi ciężarówka. Z piaskarni, składu budowlanego albo kopalni kruszywa. Cena: od 10 do ponad 50 złotych za tonę, w zależności od rodzaju (innego potrzeba do tynku, a inny trafi do piaskownicy). A piasek w ogóle? To efekt procesu wietrzenia skał. Zmiany temperatury, wilgoć i działalność organizmów żywych pokruszą nawet najtwardszą skalę. I to na ziarenka o średnicy od 1/16 do 2 milimetrów – bo tak geolodzy definiują piasek.

4. DLACZEGO KIEDY PODSKOCZĘ W JADĄCYM NA PRZYKŁAD STO KILOMETRÓW NA GODZINĘ POCIĄGU, TO ŁADUJĘ W TYM SAMYM MIEJSCU?

W tym samym, ale tylko względem wagonu. W stosunku do nasypu wykonujemy w tym czasie spory sus naprzód. Mamy jednak wrażenie, że skoczyliśmy w miejscu, bo w zamkniętym wagonie podróżujemy z tą samą prędkością i w tym samym kierunku co wagon i uwięzione w nim powietrze. Czyli względem pociągu pozostajemy w bezruchu. Co innego, gdybyśmy spróbowali podskoków, stojąc na dachu wagonu. I my, i wagon poruszałibyśmy się z tą samą prędkością, ale za to przeciskając się przez nieruchome powietrze. Podczas skoku w takich warunkach opór powietrza spowolni twój ruch naprzód i wagon przesunie się w przód dalej niż ty. W efekcie lądowanie będzie nieznacznie przesunięte w stronę tyłu pociągu w stosunku do miejsca wybiecia.

5. CO TO JEST ŁUPIEŻ?

Łupież to nic innego jak nasz własny naskórek. Skóra na całym ciele, w tym i na głowie, starzeje się, a jej wierzchnia warstwa sukcesywnie się złuszcza. Cała skóra wymienia się u kobiet w ciągu czterech tygodni. U mężczyzn trwa to dłużej. Zwykle nie jesteśmy w stanie zauważyć tego procesu. Drobin ki naskórka spływają z nas podczas mycia, stają się pokarmem dla roztoczy i wchodzą w skład kurzu w mieszkaniu. Łupież powstaje wtedy, gdy proces łuszczenia przyspiesza – na przykład pod wpływem chemikaliów w kosmetykach. Inny powód to działanie drożdżakowego grzyba *Pityrosporum ovale*. U wielu ludzi to stały i niegroźny pasażer na głowie. Pod wpływem podrażnienia skóry głowy, na przykład kosmetykami, robi się zjadliwy. A wtedy... proszmy.

Korzyści i wygoda z nową kartą Class&Club

Stale zniżki w punktach usługowych i sklepach, akcje promocyjne, karta kredytowa i towarzyszący jej rozbudowany pakiet ubezpieczeń to główne zalety programu Class&Club. Inauguracji programu towarzyszy loteria z cennymi nagrodami – do wygrania m.in. samochody Audi Q5.

Luksus musi być wygodny – w innym przypadku nie jest luksusem. Te słowa Coco Chanel przyświecały twórcom Programu Partnerskiego Class&Club, którego główny element stanowi prestiżowa karta kredytowa wydana przez Raiffeisen Bank Polska. Posiadacze karty korzystają ze stałej zniżki 10% u partnerów programu: AlmiDecor, Cinema City, Coffee Heaven, Falkensteiner Hotels and Residences, Royal Collection. Oprócz rabatów karta zapewnia atrakcyjne warunki kredytowe i dostęp do specjalnych akcji promocyjnych. Szczególnie przydatny dla osób podróżujących za granicę jest bezpłatny pakiet ubezpieczeń Class&Comfort dołączany do karty i oferowany we współpracy z Towarzystwem

Ubezpieczeniowym UNIQA, znacznie przewyższający standardową ochronę. Znajdziemy w nim m.in. ubezpieczenie w podróży zagranicznej (np. zwrot poniesionych kosztów związanych ze zgubieniem bagażu lub opóźnieniem lotu), Home Assistance oraz Concierge. Opcjonalny pakiet Class&Care zawiera dodatkowo ubezpieczenie spłaty zadłużenia i ochronę dokonywanych transakcji. Posiadacze karty Class&Club z pewnością będą także korzystać z Programu Przywilejów Class&More, który skupia wybrane marki w takich kategoriach, jak: hotele, podróże, restauracje, wino, proponując atrakcyjne zniżki. Korzystający z karty Class&Club biorą udział w loterii, w której do rozlosowania są m.in. luksusowe samochody Audi Q5. Szczegóły na www.classandclub.pl.



WAKACJE

z Przekrojem

GÓRY IZERSKIE PAWEŁ MOSKALEWICZ

Pejzaż jak z tajemniczej baśni:
Góry Stołowe obfitują w oryginalne formy skalne. Powyżej: Raj piechura – cudowna przyroda Gór Izerskich i ani śladu człowieka

Koniec Polski, koniec świata

DO ZAKĄTKA KRAJU WCIŚNIĘTEGO MIĘDZY CZECHY A NIEMCY NIKOMU NIE JEST PO DRODZE. SPRÓBUJcie JEDNAK, BO TO OSTATNI NIEODKRYTY „DZIKI ZACHÓD”

WARSZAWA NIE JEST CENTRUM WSZECHŚWIATA. ALE skądś tę odległość trzeba mierzyć. Więc tak: z Warszawy jest tam bardzo daleko. Samochodem uciekniecie się jak nie wiem co 7–8 godzin. Inny sposób to podróż pociągami do Jeleniej Góry, potem autobusem do Szklarskiej Poręby, następnie kolejnym autobusem do Świeradowa, gdzie łapiemy jeszcze jeden PKS (przez Czerniawę i Pobiedną) do Wolimierza. Jesteśmy na końcu świata, w siedzibie jednego z najlepszych, najbardziej oryginalnych polskich teatrów – Kliniki Lalek.

Na pierwszy rzut oka Wolimierz – niegdyś kolejowa stacja graniczna na trasie Berlin–Wiedeń – robi wrażenie miejsca wymarłego. Stacja jeszcze stoi, ale torów brak. Droga w opłakanym stanie, zarośnięta krzakami resztki dawnej świetności. Na zapuszczonym cmentarzu nagrobki z XVIII wieku. Ten właśnie zagubiony koniec świata 20 lat temu grupa młodych aktorów z Wrocławia wybrała sobie na nowy dom. **Od razu narzuca się podobieństwo do innych słynnych alternatywnych teatrów**, które poszukiwały siedziby gdzieś daleko od cywilizacji. Ale podczas gdy o Gardzienicach czy Wierszalinie słyszał prawie każdy, Klinika Lalek (przynajmniej w Polsce) pozostaje nieznaną. A potrafi robić cuda, które warto choć raz zobaczyć na własne oczy.



Klinika Lalek
– niezwykle, magiczne spektakle, ale też świetne miejsce, by odpocząć na końcu świata

Zapada wieczór, na polanie płoną pochodnie. Nagle z ciemności zaczynają się wylaniać bajkowe, niesamowite postacie. Potężne, większe od ludzi, o dziwnych kształtach. Zaczynają niezwykle, symboliczny taniec. Na zaimprovizowanej scenie dzieje się coraz więcej, **pojawiają się nie-spotykane stwory i maszyny, wszystko wiruje w obłędnych tańcach** przy dźwiękach szalonej muzyki. To teatr totalny. Po czym wszystko gaśnie, nad Wolimierzem zapada noc. Czas spać,

by rano wyruszyć na poszukiwanie nowych przygód.

Przemysłowe góry

Góry Izerskie kojarzą się wam z wymarłą pustynią? Poniekąd słusznie. Rabunkowa wycinka drzew w minionych wiekach i nieudany eksperyment z zadrzewieniem gór sosnami doprowadziły do tego, że trudno napotkać tu bujną przyrodę. Ale są miejsca, których przegapić nie można. Po wyruszeniu z Wolimierza już

po chwili można trafić na uroczą lipową aleję, zwaną Czarną Aleją, wycieczną jeszcze w 1766 roku. Prowadzi do świetnego niegdyś Pałacu Gersdorffów, myśliciele, słynnych mecenasów nauki i sztuki. Nieopodal pałacu zaś wznosi się zbudowana na polecenie hrabiego Gersdorffa wieża o nazwie Mon Plaisir. Niegdyś mieściło się tu obserwatorium astronomiczne. Dziś, wędrując wśród ruin, można się zadziwić, skąd na takim końcu świata wziął się prężnie działający ośrodek naukowy. Miejscowi mają prostą odpowiedź: do Warszawy może daleko, ale za to do Berlina czy Pragi zaledwie 150 kilometrów...

Amatorzy mocnych wrażeń i widoków zapierających dech w piersiach powinni zafundować sobie przelot parolotnią ze szczytu Stogu Izerskiego. Na górę można się dostać wybudowaną niedawno kolejną gondolową, ale jeśli nie mamy doświadczenia i własnego sprzętu, lepiej wcześniej dopytać w Świeradowie o instruktorów i możliwość rekreatywnego przelotu. **Nawet jeśli nie zdecydujemy się na lot, przepacerujemy się jednym ze szlaków prowadzących ze Sto-**

gu oraz zjemy pyszny obiad w istniejącym tam schronisku – niezwykle stylowym, jednym z najstarszych w Polsce, bo zbudowanym na początku lat 20. XX wieku. A potem znów ruszymy na szlak wiodący do jednej z opuszczonych wiosek na polsko-czeskim pograniczu. Wieś niesie, że całymi latami były one gniazdami przemytników, do których nie śmiała zapuszczać się żadna władza.

Prawdziwa frajda – i dla dużych, i dla małych – to wizyta w średniowiecznej osadzie położonej przy drodze z Jeleniej Góry do Kopańca. To wciąż udoskonalany skansen, w którym można nie tylko oglądać, ale i w praktyce poczuć, jak mieszkali, pracowali, jedli i ubierali się mieszkańcy średniowiecznej wioski. Najfajniej jest latem, podczas Pikniku Średniowiecznego, kiedy można poprobować staropolskich specjałów oraz zanurzyć się w atmosferze czasów Bolesława Krzywoustego.

Zamki i wino

Jeśli już przejechaliśmy pół Polski, grzechem byłoby nie zajrzeć do Kotliny Kłodzkiej. Każdy chyba słyszał o Szczelińcu w Górach Stołowych, ale jeśli jeszcze tam nie byliście, wędrowka wśród dziwnie powyginanych skał to po prostu jazda obowiązkowa! **Labirynt na Szczelińcu to tylko pierwsza z tajemniczych tras**, jakie ma do wyboru turysta. W Kłodzku nie można sobie odpuścić zwiedzania twierdzy (jednej z największych w Europie) i podziemnej trasy turystycznej, w położonym nieopodal Złotym Stoku naprawdę warto zajrzeć do kopalni złota. Z kolei tajemnicze Podziemne Miasto w Osówce to niesamowita (choć niedokończona) podziemna kwatera Hitlera.



Równie obowiązkowe (serio!) są zamki w Kotlinie. A jest ich kilkanaście. Jeśli musicie wybierać, bo sił i czasu nie starczy, to koniecznie odwiedźcie zamki w Książu, Brzegu oraz w Zagórzu Śląskim. A gdy już turystycznych atrakcji będziecie mieć po dziurki w nosie, **wstąpcie do winnicy Stary Wielisław** nieopodal Kłodzka na szklaneckie produkowane tam wino. Nie wierzcie w dobre polskie wino? No to spróbujcie! □

Informacje praktyczne:

● Samochodem w Góry Izerskie dojeżdżamy z Krakowa w mniej więcej 5 godzin, z Warszawy – 8 godzin, a z Gdańska trzeba liczyć minimum 10 godzin. Większy komfort zapewni nam pociąg, ale w ten sposób odcinamy sobie drogę do wielu atrakcji położonych w zakątkach, gdzie komunikacja publiczna kursuje słabo lub nie kursuje wcale.

● Noclegi (romantyczne, choć spartańskie) w Stacji Wolimierz kosztują 10 złotych od osoby, w zabytkowym schronisku na Stogu Izerskim – 20 złotych. Bardziej wymagający turyści bez trudu znajdą wiele gospodarstw agroturystycznych (z własną łazienką, bardzo komfortowych, od 30 do 50 złotych za dobę).

● Na obiad warto przejechać na czeską stronę, gdzie w przygranicznych gospodach ogromne porcje znakomitego jedzenia kosztują około 10 złotych.

W TYM TYGODNIU Z URLOPU POZDRAWIA PIOTR STANISŁAWSKI

Przywje!

STREFA ŚMIERCI? ŚMIECHU WARTO. TO RACZEJ WYGLĄDA jak raj na ziemi. Najpierw ten spokój. W 30-kilometrowej strefie wokół Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej imienia W.I. Lenina panuje niesamowita cisza – tak musiało być w całej Europie kilka tysięcy lat temu, zanim my, ludzie, zaczęliśmy w niej hałasować. Harmider robi się tylko raz do roku, około 26 kwietnia, w rocznicę czarnobylskiej katastrofy. Już kilka dni wcześniej przyjeżdżają robotnicy, by załatać największe dziury w drodze, pomalować na biało krawężniki i wypucować pomnik poległych strażaków. Gdy odjadą grupy oficjeli, znowu wraca wielki spokój. Leżąc opodal elektrowni Prypeć to najbardziej niezwykle skansen świata – zatrzymany w pół kroku świat z 1986 roku, który 50 tysięcy mieszkańców opuściło w ciągu czterech godzin. Jeśli uda ci się spędzić tam pół dnia, już nigdy nie będzie ci się zdawało, że nasza cywilizacja to coś trwałego. Wokół Czarnobyla przestała istnieć po zaledwie 20 latach.

Piotr



Redakcja „Przekroju”
ul. Wiejska 19
00-480 Warszawa

SZKOCKIE ZŁOTO W TRÓJKĄTNEJ BUTELCE

LEGENDARNY SMAK PAWEŁ WIECZOREK

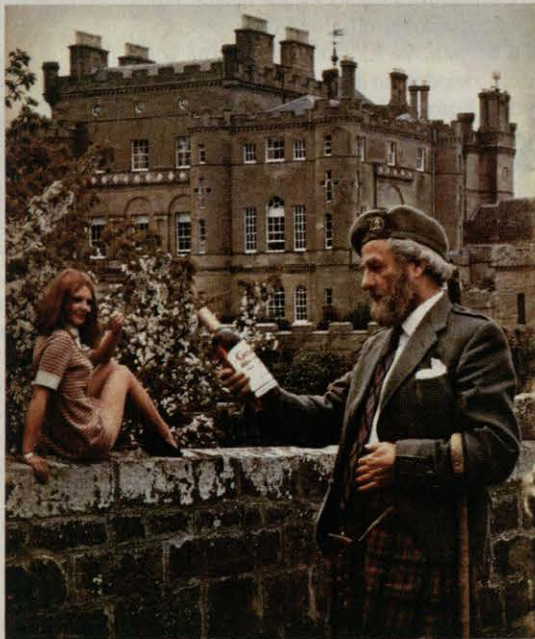
WILLIAM GRANT PIERWSZĄ GORZELNIĘ WHISKY ZBUDOWAŁ PO 20 LATACH OSZCZĘDZANIA, RĘKOMA SWOIMI, ŻONY I DZIEWIĘCIORGĄ DZIECI. TERAZ, PO PIĘCIU POKOLENIACH, TA SZKOCKA RODZINNA FIRMA DOTRZYMUJE KROKU NAJWIĘKSZYM KORPORACJOM

Każda wioska ma tam swój mostek nad kryształicznie czystym strumieniem, a wokół wznoszą się łagodne wzgórza złocone jęczmieniem. W jednej z dolin z torfowiskami sąsiaduje półtoratysięczne Dufftown – miasto małe, ale nazywane światową stolicą whisky. To rejon Speyside w północno-wschodniej Szkocji. Działa tam połowa z ponad stu szkockich gorzelni (destylarni) whisky. Jedną z nich jest gorzelnia Glenfiddich, inna to Balvenie, obie należą do firmy William Grant & Sons (nazwa ma ponad sto lat, teraz spadkobiercy liczą się już na tuziny). Grantowie to największy pracodawca w Dufftown, a wielu mieszkańców od pokoleń pracuje w ich gorzelni.

Glenfiddich zaś to najlepiej sprzedająca się na świecie whisky malt (rodzaje whisky: sprawdź w ramce), a Grant's to czwarta – tuż za produktami wielkich korporacji – whisky blend, choć narodziła się w najtrudniejszym dla tego trunku czasie. Zaczniemy jednak od narodzin założyciela firmy Williama Granta.

Dziewięć owoców miłości

Dufftown rozbudowano w 1817 roku, by osiedlali się w nim żołnierze wracający z wojen napoleońskich. Jednym z nich był Aleksander Grant, weteran spod Waterloo, choć trudno nazwać go przyjeźdźcą – szkocki do szpiku kości klan Grantów mieszkał w rejonie Spey-



side od XIV wieku, gdy dostał tam ziemię za służbę królowi.

Aleksander w mieście został krawcem, a później ojcem, gdy 19 grudnia 1839 roku przyszedł na świat William Grant.

W pierwszej połowie XIX wieku okolice Dufftown, ze swoimi źródłami i torfowiskami, szybko zyskiwały reputację świetnego miejsca na gorzelnię. Produkcja whisky była już wtedy dość bezpieczna – rząd w Londynie uznał, że nie zapanuje nad szkocką miłością do tego trunku, więc zrezygnował z powiększania armii poborców podatkowych, któ-

rzy tropili przemyt z setek niekoncesjonowanych destylarni, i w 1823 roku ogłosił Excise Act (Ustawę o akcyzie), zwany też Whisky Act, który regulował produkcję whisky i zmniejszał o połowę podatek od jej sprzedaży. W Dufftown ujawniły się i zalegalizowały gorzelnie. Pierwsza zrobiła to destylarnia Mortlach, do której wrócimy.

Na razie William ma siedem lat i podejmuje pierwszą pracę – pasie bydło należące do księcia Fife. Zajęcie nie jest zbyt perspektywiczne i świadomy tego ojciec inwestuje w naukę syna. Nauczyciel John MacPherson uczy go na tyle skutecznie, że w przyszłości William może zostać wirtuozem faktur i ksiąg rachunkowych. Na razie zatrudnia się jako praktykant u szewca, jednocześnie sprzedawcy butów. Musiał się pewnie poczuć, skoro pozwolił sobie na ożenek w wieku 20 lat z Elisabeth Duncan. Odtąd żyli oszczędnie w wydatkach i rozrzutnie w dzieciach – ich związek zaowocował siedmioma chłopcami i dwiema dziewczynkami.

Dla wykształconego (jak na lokalne warunki), pewnego siebie dwudziestokilkulatka szewski interes to za mało. William zostaje urzędnikiem w wytwórni wapna budowlanego i zastanawia się, czy nie sprawić sobie kiedyś podobnego zakładu. Nie zrealizuje tych planów, bo w 1866 roku, w wieku 27 lat, zatrudnia się we wspomnianej już gorzelni Mortlach.

William w Mortlach najpierw jest księgowym, potem szefem całego zakła-

du. On gromadzi wiedzę na temat whisky, a żona Elisabeth – pieniądze. Systematycznie z niecałych 200 funtów rocznego zarobku Williama odkładają pieniądze, tworząc coś na kształt rodzinnego funduszu inwestycyjnego.

William wie, że nie tylko talent, ale i wykształcenie dało mu wysoką pozycję wśród lokalnej społeczności. W miarę dorastania dzieci część zarobków przeznaczają na opłacenie studiów synów. Najstarszy John już zaczął zarabiać jako nauczyciel w odległym o 50 kilometrów Aberdeenshire. Teraz i on dokłada do rodzinnych oszczędności funty ze swojej pensji.

I tak od zatrudnienia się Williama w Mortlach minęło 20 lat.

Późnym latem 1886 roku szybko rozwijająca się gorzelnia Cardhu wystawiła na sprzedaż używane wyposażenie: stare, miedziane cebulaste alembiki do destylacji alkoholu, kadzie i młyń wodny. William Grant miał już wtedy na oku źródło czystej miękkiej wody nazywane Robbie Dhu, a i czas na skorzystanie z rodzinnego funduszu był najlepszy: w Europie filoksera, odmiana mszyc z Ameryki, obgryzała tak dokładnie korzenie winorośli, że praktycznie zaprzestano produkcji wina – co za tym idzie – koniaku. Spragnieni mocniejszych trunków konesery sięgnęli po szkocką whisky w jej łagodniejszej, eksportowej odmianie, czyli blendy. W Szkocji powstawała gorzelnia za gorzelnią.

William Grant wysupłał 119 funtów, 19 szylingów oraz 10 pensów i kupił wyposażenie gorzelni Cardhu. Następnie wydzierzał ziemię nad rzeką Fiddich, przy źródle Robbie Dhu (dla pewności, że pozostanie ono czyste, rodzina po latach wykupiła całe wzgórze wokół niego). William plany miał już w głowie. Teraz zakasał rękawy i rozpoczął budowę z żoną, synami, córkami oraz murarzem stawiającym domy z kamienia.

Jeleń z etykiety

Pierwsze krople whisky wyprodukowano w nowej gorzelni po 20 miesiącach – w 1887 roku, w samo Boże Narodzenie, w dodatku była to niedziela.

Firma była wtedy własnością Williama, jego żony Elisabeth i ich syna Johna, którzy w 1903 roku stworzyli spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością i nazwali ją William Grant & Sons – tak nazywa się do dziś.

Nieco bardziej skomplikowana jest sprawa nazwy gorzelni (i wytwarzanej tam whisky). Glenfiddich (wymowa: glenfidich) znaczy „dolina Fiddich”, ale nie po angielsku, lecz w języku gaelickim, który pochodzi od irlandzkiego celtyckiego. Iroszkoci przybywali na te tereny od 500 roku, a ich język dominował w Szkocji w X–XII wieku, zostawiając liczne ślady w okolicy, w tym często w nazwach gorzelni. Fiddich w tym języku to „jeleni”, tak więc glenfidich znaczy nie tylko „dolina rzeki Fiddich”, ale też „dolina jeleni”. Dłate-

Grant's, Glenfiddich i Balvenie to trzy perły w koronie firmy, co podkreślają reklamy. Powyżej: Girvan, gdzie destyluje się whisky Grant's

go na etykiecie whisky Glenfiddich znajduje się jelenia.

A Grantowie szukali zbytu. Mie-li szczęście – oddalona o 25 kilometrów duża gorzelnia Glenlivet spłonęła. Aby wywiązać się z kontraktów, sama musiała kupować whisky od innych, w tym od Grantów, którzy współpracowali również z producentami blendów.

Gdy Glenfiddich przynosiła już zyski, William nie przejadł ich, lecz inwestował.

Alembik na szyję

Od tej samej książęcej rodziny, dla której jako dziecko pasał bydło, Grant kupił na początku 1892 roku Balvenie New House, oddaloną o kilometr od Glenfiddich XVIII-wieczną posiadłość. Od dwóch innych destylarni odkupił używaną – a jakże! – aparaturę. Budynki →

PODSTAWOWE RODZAJE WHISKY

● **Słodowa, czyli single malt whisky** – pochodzi z jednej destylarni, choć może być z różnych beczek i różnych destylacji. Single malt nie może leżakować krócej niż 10 lat.

● **Mieszana, czyli blended whisky, popularnie blend** – zmieszane kilka lub kilkadziesiąt mal-

tów. Im tańsza, tym więcej w niej whisky zbożowej, a mniej słodowej. Malty do blendów leżakują przynajmniej trzy lata.

● **Zbożowa, czyli grain whisky** – jest podstawowym składnikiem whisky mieszanych, produkowana głównie z ziaren pszenicy i kukurydzy.



→ stały w 15 miesięcy i 1 maja 1893 roku wyprodukowano w nich pierwszą whisky. Ta gorzelnia tym razem nazwę miała prostą: Balvenie.

Odtąd Grantowie tradycyjnymi metodami produkują tam whisky Balvenie, uprawiając własny jęczmień, produkując swój słód (i własne beczki) oraz sezonując torf.

Butelka słodowej whisky Balvenie wyróżnia się cebulastym kształtem szyjki, który nawiązuje do kształtu alembików (w Polsce taki kształt przypomina szyjkę butelki wódki). Choć gorzelnia wykorzystuje to samo źródło i ten sam torf co Glenfiddich, to na przykład inny kształt wszystkich siedmiu alembików gorzelni, a także inne proporcje w leżakowaniu w różnych beczkach sprawiają, że pochodząca z niej whisky smakuje inaczej.

W 1898 roku William Grant zaczął mieszać whisky Balvenie, Glenfiddich oraz inne – w sumie 25 maltów z dodatkiem whisky zbożowej. Tak powstała znana na świecie Grant's Blended Scotch Whisky, nad której smakiem przez ponad sto lat czuwało w firmie kolejno zaledwie pięciu master blenderów. Obecny, David Stewart, pracuje tam od 1963 roku, a master blenderem jest od 1974. Miesza najbardziej znaną na świecie blend whisky, która nie należy do wielkiej korporacji, lecz pozostaje w rękach rodzinnej firmy. Jim Murray, autor wydawanej co roku „Whisky Bible”, ocenia ją jako numer 1 wśród 10 najbardziej znanych marek whisky na świecie.

Sieć na cały świat

Podczas boomu lat 90. XIX wieku w Szkocji powstało kilkadziesiąt nowych gorzelni. I stare, i nowe wyprodukowały w 1892 roku 9 milionów litrów whisky słodowej, a w 1899 roku – 60 milionów litrów. Tak wielka produkcja stała się nadprodukcją.

W 1898 roku z powodu nadmiaru nie sprzedanego towaru runęła firma braci Patissonów, która wcześniej, w ciągu zaledwie dwóch lat, dzięki reklamie i ogromnym kredytom stała się wielkim eksporterem whisky mieszananych. Dzięki zamówieniom od nich utrzymywało się wiele gorzelni, pracowali dla nich i Grantowie. Gdy Patissonowie zbankrutowali, wielu upadło z nimi.

Ale nie William Grant. Widząc, co się dzieje, zrezygnował z pośredników i zaczął rozwijać sieć własnych punktów sprzedaży. Do Glasgow wysłał zięcia Charlesa Gordona, który wynajął lokal pod sklep, i tak powstało pierwsze przedstawicielstwo handlowe William Grant & Sons. Przez pierwsze półtora miesiąca sprzedawało 2 skrzynki whisky, czyli 12 butelek, ale potem było już tylko lepiej.

Eksportem zajął się syn John Grant. Pierwszy oddział zagraniczny otworzył w... północnej Anglii, w Blackburn. A gdy w 1905 roku okazało się, że daleki kreny

William jest brytyjskim wysokim komisarzem Kanady, ojciec wysłał do niego Johna i tak powstało przedstawicielstwo w Ottawie. Następnie John z powodzeniem zajął się podbojem Stanów Zjednoczonych, a Charles Gordon w 1909 roku objechał Azję od Indii po Japonię, potem zajął się Australią i Nową Zelandią. Tą określną drogą dotarł do Europy kontynentalnej, gdzie otworzył trzy przedstawicielstwa. W 1914 roku firma dorobiła się ponad 60 biur sprzedaży wspomagają-

cych eksport do 30 krajów. Dzięki wcześniejszym dużym zarobkom na eksporcie Grantowie przeżyli I wojnę światową, gdy rząd skąpił jęczmienia i innych produktów do produkcji whisky.

Podczas wprowadzonej w 1920 roku w USA prohibicji nie zmniejszili produkcji, magazynując zapasy i czekając na lepsze czasy. Te nadeszły z końcem prohibicji w 1933 roku, gdy wszystko, co mieli w magazynach, sprzedali Amerykanom.



Czym jest stradivarius wśród skrzypiec, tym 40-letnia Glenfiddich wśród whisky. Trunek otrzymał Złoty Medal od International Spirits Challenge. Sama firma William Grant & Sons to wielokrotny zdobywca tytułu Gorzelnika Roku.

TAK PRODUKOWANA JEST WHISKY

● **Ziarno jęczmienia** moczone jest w wodzie przez 2–3 dni. Następnie 8–12 dni ziarna leżą w słodowni, czyli w pomieszczeniu z betonową podłogą, gdzie codziennie są obracane i gdzie kielkują.

● **Później ziarna suszone są** nad żarzącym się torfem. Dach suszarni podobny jest do dachu pagody, bo taki kształt zapewnia właściwą cyrkulację dymu, czyli jego kilkakrotne przejście przez ziarna. Opalanie jęczmienia dymem z torfu nadaje trunkowi wyjątkowy smak.

● **Słód**, czyli wysuszone nad torfem kielkujące ziarna, mieli się, tworząc zaciek, który w kadzi miesza się z go-

racą wodą. Powstały płyn to brzezka. Do niej w kadziach dodaje się drożdże i tam po dwóch dniach fermentacji pojawia się alkohol.

● **Alkohol** jest destylowany w alembikach – podgrzewanych pojemnikach o kulistym dole i wydłużonej szyjce. Każda gorzelnia ma własne alembiki, bo od ich kształtu także zależy smak whisky. Podgrzany alkohol skrapla się na szczycie szyjki i spływa do drugiego alembiku, gdzie proces się powtarza.

● **Następnie whisky wędruje** do dębowych beczek, by po leżakowaniu i zyskała smak oraz złocisty kolor. Do leżakowania stosuje się używa-

ne beczki. Na przykład whisky Balvenie Double Wood leżakuje najpierw w beczkach po burbonie (amerykańska whisky, głównie z kukurydzy), a potem w beczkach po sher-ry (mocne wino hiszpańskie). Na butelce whisky malt (lub markowej belt) oprócz jej nazwy napisane jest, ile lat leżakowania w beczce i butelce nie sumują się, liczy się tylko leżakowanie w beczce.

● **Jeśli produkowana jest whisky słodowa**, to od razu po leżakowaniu jest ona rozcieńczana do 40–43 procent alkoholu i rozlewana bez pośrednio do butelek. Ale na przykład whisky Glenfiddich Cask Strength butelkowana jest wprost z beczki.

William Grant zmarł w 1923 roku. Choć na własną firmę zapracował dopiero przed pięćdziesiątką, przez 36 lat wprowadził blend whisky Grant's na rynki światowe, a malty Glenfiddich i Balvenie spopularyzował w Szkocji. Jego spadkobiercy zwykle spośród siebie wybierali następnych szefów firmy, podejmując kluczowe decyzje w rodzinnym gronie – poprzez rady kierujące spółką.

Butelka pełna znaczeń

– Pod żadnym pozorem nie zredukujemy dostaw jęczmienia na whisky. Potrzebujemy lat, by dojrzeć, i jest nieocenionym dostarczycielem dolarów – twierdził podczas II wojny światowej Winston Churchill, według którego wpływy ze sprzedaży whisky były poważnym źródłem dewiz potrzebnych do zakupu sprzętu wojskowego.

Powojenne racjonowanie whisky dla Brytyjczyków zniesiono w 1957 roku. Był to dobry moment, by na nowo zdobyć Wyspy. Tym razem rodzina sięgnęła po chwyt marketingowy. Choć whisky Grant's ambicje ma ponadprzeciętne, jej butelka była całkiem zwyczajna. Grant & Sons zwrócili się więc do grafika i designera Hansa Schlegera, mieszkającego w Wielkiej Brytanii przedwojennego uchodźcy z Niemiec. To on zaprojektował znany symbol London Transport: circle-and-bar, czyli koło o czerwonym obwodzie z wpisanym w poprzek granatowym paskiem.

Zamówiono u niego butelkę. Miała być elegancka i wyjątkowa. Schleger stworzył więc butelkę trójkątną, w której trzech krawędziach jedni widzieli późniejszą szkocką wodę, powietrze i jęczmień, inni tradycję, dziedzictwo i jakość marki. Kolejni wyjaśniali ją praktycznie: taki kształt zapobiega turlaniu się butelki podczas transportu i trzyma się ją wygodniej niż okrągłą.

Sam Schleger mówił, że butelka jest trójkątna, bo nikt takiej nie ma. Jej wzór wykonał z gliny i topił w wodzie, mierząc, ile płynu wypiera – to tradycyjny sposób ustalania wielkości właściwej dla pojemności.

Sprzedaż whisky Grant's była już tak wysoka, że firma musiała zbudować na zachodnim wybrzeżu Szkocji dużą gorzelnię Girvan, by produkować w niej wystarczającą ilość ważnego składnika blendów – whisky zbożowej.

Pierwszy malt świata

Nieduże, rodzinne destylarnie w latach 60. XX wieku bankrutowały lub były wykupywane przez korporacje. Zagrożeni Wilcent alkoholowi i rozlewana bez pośrednio do butelek. Ale na przykład whisky Glenfiddich Cask Strength butelkowana jest wprost z beczki.

Whisky single malt (czyli słodowa nie mieszana) traktowana była wtedy w Szkocji jak na przykład żurek w Polsce, czyli bez nadziei na rozpowszechnienie w świecie ze względu na jej zdecydowany smak. A przecież Glenfiddich Malt Whisky produkowana była przez Grantów od pierwszych lat działania gorzelni, lecz sprzedawano ją lokalnie. Podobnie robiły inne miejscowe destylarnie.

W 1963 roku Grantowie zdecydowali, że długim skokiem w nieznane spróbują oderwać się od kłopotów lokalnych gorzelni: od 1964 roku w Wielkiej Brytanii, a od 1966 roku w całej Europie kontynentalnej rozpoczęli sprzedaż single malta Glenfiddich, kusząc marką promowaną jako ekskluzywna i luksusowa.

I tak jest oceniana przez klientów. Może słusznie, skoro sięgając po malta, wiesz, pod jakim adresem go wyprodukowano, podczas gdy blend jest mieszaną różnych whisky. Biorąc do ręki butelkę z jeleniem (na etykiecie), jesteś pewien, że to jedyna whisky z rejonu Speyside destylowana, leżakowana i butelkowana w jednym zakładzie. I że dojrzewała w dębowych beczkach po rumie kubańskim (Glenfiddich Gran Reserva) lub beczkach po burbonie, czyli kukurydzianej whisky z USA (18YO Glenfiddich Ancient Reserve).

Produkt zainteresował nie tylko koneserów – firmie udało się przełamać monopol blendów i jako pionier do dziś utrzymuje przewagę nad konkurencją.

Zobaczysz i posmakujesz

Glenfiddich to wciąż numer 1 wśród single maltów na świecie. I choć w ostatnich latach William Grant & Sons rozszerzyli swoją ofertę także o inne trunki (Hendrick's Gin, produkowana w Islandii wódka Reyka, rum Sailor Jerry, brandy Three Barrels), to jednak trzy marki – słodowe Glenfiddich i Balvenie oraz blend Grant's – dostarczają firmie większość dochodów.

Każdy może zobaczyć, jak się robi Glenfiddich. To pierwsza gorzelnia, która otworzyła bramę dla gości – już w 1969 roku.

Godzinne zwiedzanie destylarni nie kosztuje i kończy się degustacją jej wyrobów (też gratis). Dla koneserów przygotowano dwupółgodzinną trasę płatną, która kosztuje 20 funtów. Warto je wydać, by przyjrzeć się dokładniej produkcji maltów. Zgodnie z ha-

śłem promującym słodowe Glenfiddich w latach 60. w świecie, który dotąd znał wyłącznie szkockie blendy: Now you know your Scotch, taste what came before. □



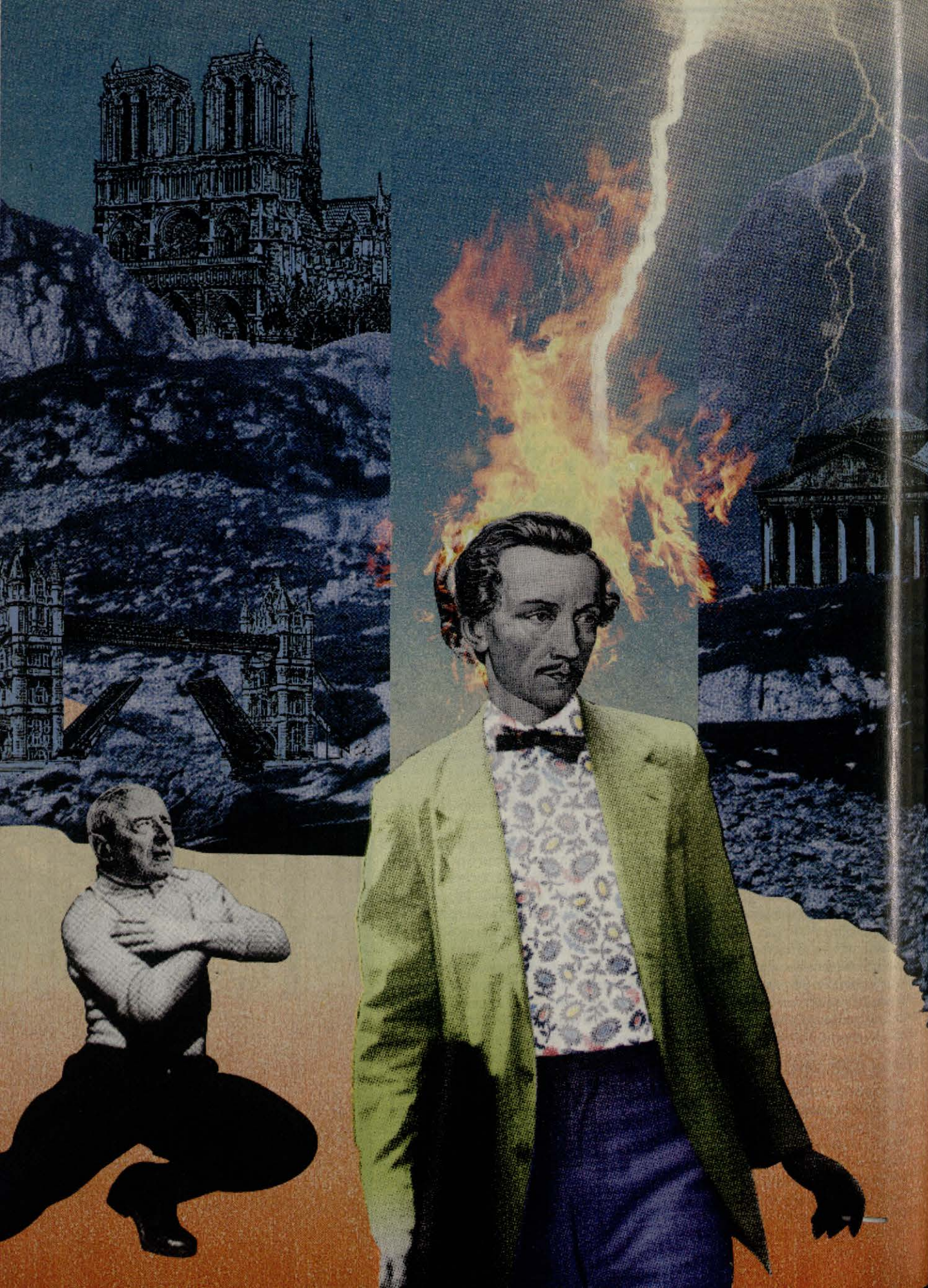
Tak rodziła się legenda: jedno z pierwszych zdjęć rodzinnych William Grant & Sons oraz pracowników na tle destylarni w „dolinie jeleni”



Na sukces marki Grant's złożyły się nie tylko wyjątkowa jakość whisky, ale również nowatorskie podejście m.in. do dystrybucji i sprzedaży



Obecny prezes Charles Grant Gordon reprezentuje czwarte pokolenie od czasów założyciela Williama



KULTURA

→ W tym tygodniu:

HISZPANIE ZNÓW STRASZA W KINIE;
FESTIWAL TAURON NOWA MUZYKA SZYKUJE
SIĘ, BY NAS ZACHWYCIĆ; WILL EISNER (KTÓRY
ZACHWYCA OD LAT) I MICHAŁ WITKOWSKI
ZE SŁABĄ KSIĄŻKĄ O TIROWCACH I CELEBRYTACH



SŁOWACKI TEKST NA OKOLICZNOŚĆ

200 LAT TEMU URODZIŁ SIĘ NASZ WIESZCZ. CO Z TYM POCZĄĆ?
OTO PARĘ POMYSŁÓW Z OKAZJI **ROKU SŁOWACKIEGO**

JUBILEUSZ MARCIN SENDECKI

OKOLICZNOŚĆ JEST POWAŻNA, WYPADA zatem zacząć po bożemu: 4 września 200 lat temu o siódmej wieczorem urodził się w Krzemieńcu Juliusz Słowacki. Zaznaczyć trzeba – dla ścisłości – że wedle obowiązującego wówczas kalendarza starego stylu nasz 4 września był 23 sierpnia i tego właśnie dnia poeta obchodził swoje urodziny.

Mamy więc, jak przystało, oficjalnie ogłoszony Rok Słowackiego, zasadniczo dość niemrawy, jeśli chodzi o natężenie związanych z nim wydarzeń – i chyba bledszy w porównaniu z takimże oficjalnym „rokiem” w 1999 (w 150. rocznicę śmierci i 190. urodzin), którego zresztą nikt już nie pamięta. Nic dziwnego, nie wiadomo przecież, co dziś począć z romantycznym poetą. Nie da się go wykorzystywać tak, jak ze zmiennym szczęściem postępujemy z Chopinem – eksportowo i wizerunkowo. Nie ma – i chyba być nie może – przekładów, które oddałyby kunszt językowej maszyny Juliusza i miałyby szansę wryć się w świadomość obcojęzycznej publiczności, nawet gdyby jakkolwiek publiczność podniecały jeszcze wiersze pisane dawno temu w dziwacznym narzeczu. W kraju zaś szkolna działalność atakowana jest podwójnym komunikatem, że poeta „wielkim był” – najpierw podawanym w dobrej wierze, potem szyderczo obśmiewa-

nym przez Gombrowicza, który też „wielkim był”, więc rzecz cała skutkować musi przedziwnym mętkiem.

Żyło ludzi mnóstwo i wszyscy pomarli

Największy pośmiertny triumf miał Słowacki oczywiście przed wojną. Kiedy jego szczerzy wielbiciel Józef Piłsudski doszedł do pełni władzy po zamachu majowym, umyślił uczynić z poety kogoś w rodzaju ojca założyciela niepodległej Polski. I dopiął swego w prawdziwie wielkim stylu.

W czerwcu 1927 roku szczątki Juliusza sprowadzono z wielką pompą do kraju. Po uroczystościach w stolicy (przez katedrę Świętego Jana przewinęło się podobno sto tysięcy osób) trumnę uro-

czyście przewieziono do Krakowa i złożono obok Mickiewicza i grobów królewskich na Wawelu. Warto zauważyć, że dość późno się to odbyło, między innymi z tego względu, że duchowieństwo wcale nie paliło się do dopuszczenia nie całkiem prawowierne go „między króle” – morderczą uwagą o wierszach Słowackiego jako „Kościele bez Boga” popisał się już Mickiewicz.

Były zresztą i inne projekty, jeszcze za czasów zaborów – ten na przykład, by pochować Juliusza w Tatrach. Optowali za tym Sienkiewicz i Stanisław Witkiewicz. „Trudno zrozumieć, dlaczego ten wspa- niały pomysł (...) nie został zrealizowany – pisze w „Słowackim. Encyklopedii” Jarosław Marek Rymkiewicz – i dlaczego Słowackiego →

Pięćioletni poeta jako amarek na obrazie Jana Rustema

Kraków. Warta przy prochach wieszczka w Barbakanie



→ pochowano (...) w wilgotnych ciemnościach wawelskich podziemi, a nie w niedostępnej ścianie Giewontu. Pewnie stało się tak dlatego, że właśnie tacy jesteśmy, my Polacy: coś sobie pięknie wymyślimy, ale nie potrafimy tego zrealizować – i zaraz też o tym, że coś pięknego wymyśliliśmy, zapominamy”.

Na pociechę mamy jednak wspaniałe przemówienie marszałka na wawelskim dziedzińcu. Piłsudski, wychodząc od genialnego w swej aksjomatycznej prostocie zdania: „Żyło ludzi mnóstwo i wszyscy pomarli”, dowodził, że Słowacki zapewnił sobie nieśmiertelność w ludzkiej pamięci i idzie jako „Król-Duch” do krypty – tu nierozstrzygnięta do dziś kontrowersja – bo (lub „by”) „królom był równy”.

Zostały z tamtych czasów także poświęcone Słowackiemu bardzo ładne wiersze – najślawniejsze pióra Lechońa i Tuwima, ale jest ich znacznie więcej i można by (to mój okolicznościowy pomysł numer jeden) zebrać je, opracować i wydać (a jeśli ktoś już to kiedy zrobił – zdaje mi się, że nie – wznowić, uzupełnić i tak dalej).

Dwie dychy z Julem

Tymczasem najbardziej oficjalnym projektem rocznicowym jest edycja specjalnego banknotu ze Słowackim przez Narodowy Bank Polski. 23 września ma się ukazać w kilkudziesięciotysięcznym nakładzie dwudziestozłotówka z wizerunkiem poety. Nominał nie najwyższy, ale normalnie spoziera z dwudziestki Bolesław Chrobry, więc wstydu nie ma. Dlaczego jednak nikt nie wpadł na pomysł naprawdę ambitny? Wiadomo, że w ostatnim dziesięcioleciu życia Słowacki nieźle sobie radził, inwestując i obracając akcjami.

Rok 1980.
Gustaw Holoubek
podczas realizacji
„Kordiana”
w Teatrze
Telewizji

Wbrew krążącym o nim wówczas opiniom (i naszemu stereotypowemu wyobrażeniu romantycznego poety) okazał się – zauważa Rymkiewicz – „człowiekiem oszczędnym, roztropnym i przeczynnym”. Gdyby więc – pomysł numer dwa – nazwać warszawską giełdę imieniem Słowackiego, byłoby zarazem zabawnie, ambitnie i prorynkowo.

Podjeżdżanie prorynkowo zapowiada się natomiast drugie (i bodaj ostatnie spektakularne) rocznicowe wydarzenie. Oto 4 września ma się odbyć premiera filmowej wariacji Dariusza Zawisłaka na temat „Balladyny”, która dzieje się współcześnie w Nowym Jorku. Obok polskich aktorów (w podwójnej roli Balladyny–Aliny Sonia Bohosiewicz) na ekranie pojawi się sama Faye Dunaway w roli Doktor Ash wzorowanej na Pustelniku. Wszystko więc wygląda pięknie i nie martwi mnie nawet zapowiedź wypuszczenia stosownej gry internetowej. Gorzej, że wedle twórców „film kierowany jest do szerokiej publiczności: gimnazjalistów i uczniów szkół ponadgimnazjalnych oraz widzów międzynarodowej”, więc czuję się odrobinę wykluczony, choć zarazem ciekaw efektu takiego skrojenia naszego krwawego dramatu.

Sam Słowacki do Nowego Jorku (i w ogóle do Stanów) nigdy nie dotarł (ciekawe, że poznał bawiącego w Paryżu Jamesa Fenimore’a Coopera, autora „Ostatniego Mohikanina”). Podróżnikiem był jednak co się zowie. Mimo wątpliwego zdrowia („suchoty gardlane” i astma) zjeździł kawał świata i jako wieczny niemal tułacz może spokojnie trafić

do przekonania wyprawiającej się dziś we wszystkie strony globu młodzieży. Pokróćcie: Krzemieniec, studia w Wilnie, wyprawa nad Morze Czarne, od lutego 1829 do marca 1831 roku Warszawa, potem Prusy, Londyn, wreszcie Paryż – główna emigracyjna baza, skąd wyruszał nad ocean do Parnic, Szwajcarii, Włoch. No i wielka podróż wschodnia (1836–1837): z Włoch do Grecji, potem Egipt, Syria, Palestyna, na koniec kilkutygodniowy pobyt w libańskim klasztorze Betchesban, gdzie powstał „Anhelio”, a gdzie dziś jest stała wystawa poświęcona pamięci poety.

Szatan, szatan!

Pewnie to jednak zbyt mało, by Słowackiego na masową skalę zrewitalizować. Tysiące stron jego dzieł są na podórędziu, ale znaczki na papierze słabo wyglądają w telewizji, nieprawdaż?

Nie grożą mu też chyba (na szczęście) – tak jak zapatrzonym weń poetom warszawskiego powstania czy Białoszewskiemu – rockowe śpiewogry, które tak rozgłośnie unicestwiają poezję ku ogólnej satysfakcji.

Jakieś atrakcje – na kanwie nie wierzysz, lecz życiorysu – można by przecież przy święcie zorganizować. Lubimy historyczne inscenizacje? Może raz zamiast wojennej strzelaniny zrekonstruować zderzenie sań na Nowym Świecie w lutym 1829 roku, z którego święto przybyły do Warszawy poeta cudem wyszedł bez szwanku? (taki właśnie obrazek otwiera ładny „Portret Słowackiego” Pawła Hertza). A jeśli nie można obejść się bez broni, to jest pojedynek

(rok 1841) z niejakim Ropelewskim, który wyzwał poetę (ponoć za poduszczeniem Mickiewicza) urażony fragmentami „Beniowskiego” – choć obojętne bez strzałów, bo Ropelewski ostatecznie stchórzył.

Wreszcie, jako że Słowacki był modniem pierwszej wody (i często opisywał swe stroje, ot: „miałem białe szarawarki, kamizelkę białą kaszmirową, w ogromne różnokolorowe kwiaty, tak jak dawne suknie damskie, i kołnierzy od koszuli odłożony – do tego dodajcie laseczkę z poślazaną główką i glansowane rękawiczki, a będziecie mieli Julka...” – list do matki, 1832 rok), spróbujmy sobie wymarzyć rekonstrukcję i rewię strojów Słowackiego prezentowanych przez kwiat młodego polskiego aktorstwa. Cóż to by była za duchowa pociecha w czasach kryzysu!

Najradzykalniej do uprzystępnienia Słowackiego podszedł zapewne Jan Zieliński (krytyk, edytor i profesor literatury). „Chodziło mi także o napisanie takiej biografii Juliusza S., która trafi do (...) generacji maturzystów (...). Do młodych ludzi, których trudno czymś zadziwić” – napisał we wstępie do swego niedawno wznowionego „Szatańioła”, w którym odsonić chciał szatańsko-anielską naturę Juliusza.

Obiecuje zatem Zieliński „pisać o jego satanistycznych ciągach. I o druidyzmie. Pisać o fanfaronadach. O bufonadzie. O skrajnej ambicji i jej konsekwencjach. O chorobliwej zawiści. O zażywaniu narkotyków. O przypuszczalnym homoseksualizmie. O podciągu do małych dziewczynek (...). O organizowaniu przemytu (na granicy szwajcarsko-francuskiej). O tych (...) rzeczach, o których się na ogół, zwłaszcza w Polsce, w biografach wielkich pisarzy nie pisze”. I rzeczywiście, zaczyna ostro od trzęsienia ziemi w postaci przypisania młodemu Słowackiemu zawarcia paktu z Szatanem.

Ile ze wszystkich swych zapowiedzi Zieliński przekonująco spełnia, każdy powinien sobie w sercu i rozumie ocenić, więc zapraszam do lektury. Skądinąd podobne teorie można mnożyć, bo wielu rzeczy o Słowackim po prostu nie wiemy. Dla przykładu nie ma nawet pewności, że w całym swym życiu z kimkolwiek cielesnie obcował. Ale jeśli posmak biograficznego skandalu skłoni kogoś do sięgnięcia po Słowackiego samego, to tym lepiej. Diabeł nie diabeł, na małe przeaniełnienie nigdy nie jest za późno. Pamiętają państwo?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniołła
niewidzialna,
Aż was, zjadaczce chleba – w aniołów
przerobi”.



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

OK commuter, czyli może by tak zakazać chodzenia na piechotę?

ARESztOWALI BOBA DYLANA. Ktoś zadzwonił, przyjechała policja i zgarnęła go z ulicy jak gdyby nigdy nic. Dlaczego jak gdyby nigdy nie? Bo nie rozpoznali, z kim mają do czynienia. Bard Ameryki? Nie uwierzyli nawet w to, że gra niedaleko koncert z Willem Nelsonem. Uwierzyli w to, co zobaczyli: że jakiś tajemniczy mężczyzna chodzi po ulicy w małym nadmorskim miasteczku w New Jersey i czegoś szuka. Podejrzane. Ktoś, kto choć raz szedł ulicą przez małe amerykańskie miasteczko, wie, że ulice nie służą tam do chodzenia. W zasadzie i w europejskich miastach coraz gorzej odgrywiają tę rolę. W dodatku – jak spostrzegli mieszkańcy miejsciny w New Jersey – mężczyzna chodzi po deszczu, zatem na pewno ma jakiś niecy cel, bo porządne obywatela nie nie skłoniłoby do przechadzania się po obcym mieście, i to jeszcze wtedy, gdy pada. Ba, ów tajemniczy mężczyzna zaglądał na podwórko domu z tabliczką „Na sprzedaż”. A jakież wólcęga (tak w krajach wysoko uprzemysłowionych mówią na przechodniów) mógłby chcieć kupić dom na sprzedaż, skoro nie stać go nawet na tak podstawowe dobro jak samochód? Lubimy sobie pojeździć także w Europie, gdzie średni czas dojazdu do pracy wynosi w wielu

krajach – od Wielkiej Brytanii po Rosję – ponad 40 minut. Gdy czas ten przekracza 90 minut, w USA opisują zjawisko fachowym terminem: *extreme commuting* (od *commuter* – „dojeżdżający do pracy”). Jak pisze Mark J. Penn w książce „Mi-



Bob Dylan jest w USA wólcęga, bo nie ma auta

crotrends”, w ciągu 10 lat liczba takich ekstremalnych dojeżdżających się podwoiła i będzie rosła dalej. Problem dotyczy już ponad trzech milionów Amerykanów. Trzy lata temu urządzono tam nawet konkurs na najdalej dojeżdżającego samochodem pracownika – wygrał go mieszkaniec Kalifornii, który do pracy w Cisco Systems pokonuje 300 kilometrów. I drugie tyle z powrotem. Ekstremaści dojazdów do pra-

cy w ciągu jednego tygodnia mogą sobie przesłuchać w formie audiobooka całe „W drodze” Kerouaca – książkę o podróży ot tak, bez celu, na jaką im już nigdy nie starczy czasu. Nowy album Dylana zdąży przesłuchać w ciągu tygodniowych dojazdów jakieś 20 razy. I jeszcze kilka razy w drodze na weekend albo do sklepu. W dodatku jeszcze będą ekologiczni – brytyjscy zieloni wyliczyli, że emisja CO₂ przez kogoś chodzącego na piechotę jest (ze względu na konieczną produkcję żywności, która da mu więcej energii) większa niż przy jeździe samochodem! Każde dodatkowe 10 minut dojazdu do pracy to – jak z kolei podaje Penn – 10 procent mniej czasu dla rodziny. Ale oczywiście czego się nie robi dla rodziny, szczególnie za cenę mieszkania w małym nadmorskiej miejscowości w New Jersey.

Co do Dylana, to też był w pracy. Najprawdopodobniej szukał w miasteczku domu, w którym za młodu mieszkał Bruce Springsteen. Z odnajdywania takich historycznych dla rock and rolla miejsc czerpie inspirację. Prawdopodobnie, choć nie na pewno. Dylan zawsze był dziwną, tajemniczą postacią. Tyle że dziś dziwimy się już nie tylko temu, o co mu chodzi, ale nawet temu, dlaczego chodzi. □

rys. MARCIN MACIEJOWSKI



POTOK

Grób
Słowackiego
na paryskim
cmentarzu
Montmartre

POMNIK ODNOWIONY STARANIEM
KOMISJI OPIEKI NAD GROBAMI
POLSKIMI W PARYŻU.



Kobiecie trzeba wierzyć Hiszpański horror „Wezwani”, czyli inni w sierocińcu

+++ BARTOSZ ŻURAWIECKI

Na miejscu dystrybutora reklamowałbym ten film jako połączenie „Innych” Amenabara z „Sierocińcem” Bayona, a więc dwóch nastrojowych horrorów hiszpańskiego pochodzenia, które i u nas stały się przebojami. Scenografia, fabuła i narracja „Wezwanych” w wielu miejscach przypominają tamte dzieła, choć sam film nie ma, niestety, ich klasy.

Małżeństwo lekarzy z kilkumiesięcznym synem wprowadza się do domu, który ongiś był szkołą prowadzoną przez zakonnicę, a potem rezydencją biskupa. Dość szybko nowa gospodyni Francesca orientuje się, że dzieją się tutaj dziwne rzeczy – ktoś biega po nocy, krzyczy i trzaska drzwiami.

Francescę gra Ana Torrent, którą wciąż najlepiej pamiętamy jako małą nadwrażliwą dziewczynkę z wielkimi czarnymi oczami z filmów „Duch roju” i „Nakarmić kruki”. Od tamtego czasu Torrent przekroczyła czterdziestkę, ale nadal widzi i słyszy więcej niż inni śmiertelnicy. Mąż zachowuje się jednak tak, jakby nasłuchiwał się przeboju Budki Suflera „Nie wierz nigdy kobiecie” – uważa, że żona plecie bzdury i jest emocjonalnie zaburzona. Wciąż zresztą cieniem na ich związku kładzie się śmierć poprzedniego dziecka.

Źródeł tajemnicy nawiedzonego domu szukać należy oczywiście w mrocznych czasach dyktatury generała Franco i wszechwładzy Kościoła katolickiego. Epoce, któ-

ra stanowi wdzięczne tło dla wielu współczesnych hiszpańskich horrorów. Reżyser Elio Quiruga nie ma jednak głowy do rozliczania przeszłości. Zajęty jest głównie podkreśnianiem atmosfery i mnożeniem efektów dźwiękowych oraz wizualnych, z których najciekawszy to stylizacja obrazu na stary film. Nieprzypadkowa, gdyż znaczącą rolę w całej sprawie odegrają zdjęcia z archiwalnych kronik (oryginalny tytuł „No-Do” jest skrótem nazwy hiszpańskiego odpowiednika Polskiej Kroniki Filmowej). A czy coś z tego wynika? Chyba to co zwykle – że Kościół katolicki to straszna instytucja. □

„Wezwani”, reż. Elio Quiruga, Hiszpania 2009, Hagi, 96', premiera 28 sierpnia

■ KOCHAMY AMERYKAŃSKIE SERIALE

Umarli z wyboru

JESIEŃ ZA PASEM, NOWE SEZONY serialowych hitów w drodze, ale mało która ekipa powróci w pełnym składzie. Za ekranowe śmierci ukochanych bohaterów nie winicie scenarzystów. O'Malley z „Chirurgów” (od 24.09 w ABC) uległ wypadkowi, bo odtwórca tej roli T. R. Knight czuł, że ma coraz mniej do grania,



Edie (Nicollette Sheridan) z „Głowych na wszystko” (od 27.09 w ABC) padła ofiarą cięcia kosztów („Szukaliśmy oszczędności, a Edie jako jedyna miała już romanse z większością mężczyzn z Wisteria Lane”), natomiast Kutner (Kal Penn) z „Dr. House'a” (od 21.09 w Fox) popełnił samobójstwo, by zacząć nowe życie u boku... prawdziwego Baracka Obamy. Dawniej aktor, dziś jako urzędnik zajmuje się w rządzie relacjami amerykańsko-azjatyckimi. – kp



++

Pora umierać

„Spotkanie w Palermo” przełożone na później

JESLI KTOŚ DEDYKUJE SWÓJ FILM Antonioniemu i Bergmanowi, to albo jest geniuszem, albo grafomanem. Wim Wenders okazał się, niestety, tym drugim. Niedysiejszy mistrz europejskiego kina („Niebo nad Berlinem”!) ma ambicję odwołać się do wielkich dzieł, ale, niestety, nurza się w kicz i schematach. Oto wzięty fotograf mody, który cierpi za miliony (euro oczywiście), uprawiając ten niegodny artysty zawód, w poszukiwaniu siebie pielgrzymuje do Palermo. Wiadomo, kryzys egzystencjalny potrzebuje adekwatnej scenarii. Tu w obskurnych, ale pięknych uliczkach ściga się z zakapturzoną Śmiercią. Ta ostatnia rozprawia o wyższości tradycyjnych technik nad cyfrową fotografią – a wszystko to w filmie pełnym efektów specjalnych. Chyba dobrze, że Bergman z Antonionim tego nie dożyli. – masa

„Spotkanie w Palermo”, reż. Wim Wenders, Francja/Niemcy/Włochy, Gutek Film, 124', premiera 21 sierpnia

Dużo krzyku

WYGLĄDA NA TO, ŻE PO LUDZKU RODZI się z delfinami, a najbardziej odhumanizowane są porody szpitalne. Jak rodzą kobiety – od amazońskiej dżungli, przez przeludnione wietnamskie kliniki, aż po indyjskie slumsy – zobaczcie w dokumencie Gilles'a de Maistre'a „Pierwszy krzyk” (nie mylić z niemym). Film jest już w kinach. – masa



Karolina Gorczyca w roli Julii, która nie chce, ale musi być modelką. Serdecznie współczujemy

++ MICHAŁ BURSZTA

Dla grzecznych dziewczynek

Komedia romantyczna i satyra na świat mody w jednym? Tego już za wiele!

Nakręcić komedię o polskim środowisku mody to zadanie ambitne, gdyż klasa, szyk i trend to wciąż nad Wisłą słowa równie tajemnicze jak składniki kuchni indyjskiej. Na szczęście reżyser już od pierwszych minut pokazuje nam, że nie będzie się bawił w żadne demaskacje, tylko da widzowi to, co ten lubi najbardziej – bajkę dla grzecznych dziewczynek.

Naiwna gąska z prowincji próbuje odnaleźć się w wielkim mieście. Nie dostaje się na studia, więc rozpoczyna pracę jako modelka. Ponieważ ma śliczną powierzchowność Karoliny Gorczycy, szybko dostaje lukratywny kontrakt, a że producent filmu nie skąpił grosza, akcja przenosi się na Maderę. Dziewczyna staje się zimna i profesjonalna, nawiązuje romans z facetem swojej przełożonej, jednocześnie nie zapominając, że kasa to nie wszystko, a w życiu najważniejsza jest także – uwaga, zaskoczenie! – miłość. Reżyser przekonuje nas też, że jeżeli chodzi o modę, to nie musimy mieć kompleksów wobec Zachodu. Szkoda, że to samo nie dotyczy scenariusza. Lang wprowadza nowe postaci, próbuje mnożyć wątki, ale zupełnie nie ma pomysłu, jak je rozegrać. Szkoda więc zupełnie niewykorzystanych Sani Bohosiewicz czy dawno niewidzianej Barbary Brylskiej. Przełomem jest tu pewna bezpruderyjność, bo Lang jako jeden z nielicznych polskich reżyserów zauważył, że Polacy mogą uprawiać seks, choć częściowo zdejmując ubranie. To cieszę się, ale może jednak lepiej w ogóle się nie ubierać i zamiast iść do kina, po prostu zostać w domu? □

„Miłość na wybiegu”, reż. Krzysztof Lang, Polska 2009, Kino Świat, 93', premiera 21 sierpnia



Tomasz Karolak. Ale jaja!

Portal WWW komórce

Sprawdź, jaka będzie jutro pogoda

mini.wp.pl



WP.PL

Twoja poczta e-mail / prognoza pogody / repertuar kin / najświeższe informacje / kursy walut / wszystko to po kilku kliknięciach na ekranie Twojej komórki / wpisz adres mini.wp.pl w przeglądarce swojej komórki i ciesz się mobilną stroną Wirtualnej Polski / pomoc znajdziesz na stronie: info.mini.wp.pl

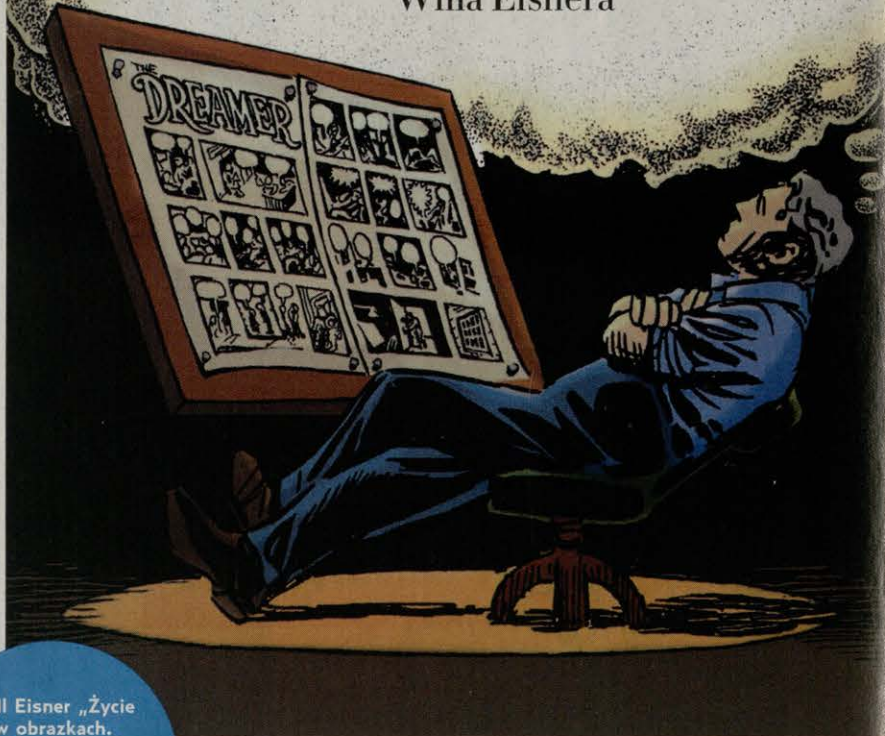
Szanowny czytelniku, wyobraź sobie, że przychodzisz na świat w roku 1917 w Nowym Jorku. W wieku 19 lat zakładasz studio komiksowe i masz przyjemność obserwować, jak obrazkowe historie odgrywają coraz większą rolę, a komiks szybko przeobraża się w przemysł. Zatrudniasz ludzi, którzy później staną się sławni: Boba Kane'a (autor „Batmana”) czy Jacka Kirby'ego (ojciec „Kapitana Ameryka”). Dajesz szansę nawet 12-letniemu utalentowanemu smarkaczowi (to Joe Kubert, jeden z najlepszych fachowców w branży). Niestety, nieopatrznie odsyłasz z kwitkiem dwójkę chłopaków z Ohio, bo uznajesz, że ich „Superman” jest zbyt amatorski. Za to później, gdy zakładasz kolejne studio, jako jedyny w tamtych czasach zachowujesz prawa autorskie do swojej ulubionej pracy – serii „The Spirit”. Jesteś młody, lecz miast prowadzić nocne życie nowojorczyka, zasypiasz nad ręką przy pulpicie, rysując kolejnych bohaterów. Tworzysz komercyjne serie i rysunki przez kilkadziesiąt lat. Zyskujesz sławę, ale czujesz, że to wciąż mało. Gdy kończysz sześćdziesiątkę, nie idziesz na emeryturę, lecz zaczynasz robić komiksy dla samego siebie. Chcesz wykorzystywać obrazki do mówienia o własnych przeżyciach i prawdziwej Ameryce. Po latach krytyka nazwie je powieściami graficznymi, a ciebie człowiekiem, który zrewolucjonizował gatunek, a co więcej – wyleczył go z kompleksów i wprowadził do świata literatury. Czyż to nie wspała? Owszem, każdy komiksarz chciałby mieć taką biografię.

Dzięki „Życiu w obrazkach” ty także, szanowny czytelniku, możesz ją poznać. Podtytuł „Opowieści autobiogra-

Will Eisner „Życie w obrazkach. Opowieści autobiograficzne”, Egmont, Warszawa 2009, s. 496, 99 zł



Wspomnienia marzyciela „Życie w obrazkach”, czyli rzecz o narodzinach przemysłu komiksowego w Ameryce i kariery Willa Eisnera



ficzne” może być odrobinę mylący, bo Eisner to człowiek starej daty, dżentelmen, który pewnych rzeczy nie lubi ujmować wprost, zatem autobiografizm koncentruje się tutaj przede wszystkim na relacjach Eisnera z komiksowym światem. Autor przedstawia siebie jako marzyciela. Upartego i konsekwentnego, ale jednak marzyciela, który zawsze stara się iść za głosem serca. I dobrze na tym wychodzi. Jednocześnie zadaje sobie pyta-

nie, kto lub co go ukształtowało. Odpowiedzi jest wiele: ojciec wspierający artystyczne zainteresowania syna, imigranckie pochodzenie i to, że przyszło mu żyć w USA. Artysta, chociaż nie idealizuje Ameryki, docenia, że przybywając do niej, trzeba porzucić dotychczasowy sposób widzenia świata, włącznie z wieloma uprzedzeniami. Widać też głęboką wiarę Eisnera w ideę *self-made man*. Nic dziwnego, był jego wzorcowym przykładem.

pewnego dnia odwiedza trupa artystów z piekła rodem. Proste, przyjemne, świetnie narysowane. Nieprzegadane, nienachalnie promocyjne, a cel zostaje osiągnięty – oryginalna pamiątka tylko z Płocka. Edytor przesadził tylko z formą – dziełko wydano na tekturowych stronach, jak książeczkę dla dzieci. Po co? Zupełnie nie wiadomo. Poza tym gratulacje.

Grzegorz Janusz (scenariusz), Jacek Fraś (rysunki) „Tragedyja Płocka”, Płock 2009, Płocka Galeria Sztuki; s. 28, 35 zł



profesjonalistom, takim jak Fraś i Janusz, bo zawodowcy wiedzą, co robią, i mają wyczucie. Wybiorą więc z dziejów miasta jeden wątek, zamiast upychać 700 lat historii na 48 stronach, co musi

skończyć się gniotem. Płock to zrozumiał. Dostajemy więc misternie skonstruowane (brawo, Janusz!), krótkie opowiadanie o XIV-wiecznym mazowieckim księciu Siemowicie III, którego

A Michaśka (jak nówią o Witkowskim) znowu w bankietowym mrozie



MARCIN SENDECKI

Fiku-miku na patyku Witkowski ze swoim talentem obchodzi się po macoszemu

KIEDYś TYLKO ZOBACZYŁ W KTOREJś telewizji, jak Michał Witkowski w bankietowym nastroju zapowiada powieść o tirowcach i warszawce, co to łatwa dla ludzi ma być, a nie dla tych tam krytyków – z miejsca posmutniałem. Przeczucie mnie, niestety, nie zawiodło, bo „Margot”, trzy drutem powiązane historyjki o tirówce maniaczce seksualnej (rola tytułowa), świętym dziewczęciu na wózku inwalidzkim (święta Asia od tirówców) i Waldku Jesionce, który z prowincjonalnego przystankersa zmienia się w celebrytę Waldiego Mandarynkę, to dowód, że Witkowski pisać potrafi świetnie, tylko nie ma o czym. Wszystko jest zamasyżowane, srodzawiskowy folklor oddany (lub wymyślony) eleganczko, zdania śliczne, język nieustannie szarżujący (może trochę przesadnie, bo jakby na jednym oddychu) – tyle że jest to zaledwie lektura pociągowa, co jednym uchem wpada, drugim wypada i nic

z niej nie zostaje, bo rozpoznawanie świata przedstawionego odbywa się na poziomie epatowania stereotypową egzotyką i wymyślania cudactw. Są też – chyba wbrew autorskim zapowiedziom – prezenty zarówno „dla ludzi”, jak i „dla krytyków”: jednym suite opisy orgietek, innym Foucault w oryginale (kompletnie bez sensu), przywołanie „Przemian” Owidiusza (bardzo na wyrost) i nabijanie się z Olgi Tokarczuk (całkiem zabawne, przyznaję).

Sukces więc będzie niechybny, kasa popłynie strugą, telewizje śniadaniowe będą miały o czym rozprawiać – i bardzo dobrze, i najlepsze życzenia.

A jednak mi żal, że prozaik o fenomenalnym talencie, zamiast spożytkować go na wyprodukowanie książki zdanej choćby do powtórnego przeczytania – mimo wszelkich braków taką właśnie książką było „Lubiewo” – trwoni zdolności na takie dyrdymale.



Michał Witkowski „Margot”, Świat Książki, Warszawa 2009, s. 208, 32,90 zł



wszystkie najlepsze polskie i zagraniczne seriale w jednym miejscu / absolutnie wyjątkowy serwis / opisy odcinków i całych serii / informacje o bohaterach / zdjęcia, zwiastuny i klipy z planu / recenzje, quizy i ankiety / i wiele, wiele więcej / aleseriale.pl / ale serwis!

Logopedia stosowana

Moja muzyka to terapia. Dla mnie i dla ciebie – mówi Mariuszowi Hermie **Speech Debele**, najnowsze odkrycie wytwórni Ninja Tune i jedna z gwiazd festiwalu Tauron Nowa Muzyka

Jak się czujesz jako jedyna czarna artystka nominowana do nagrody Mercury?

– Ano właśnie, czarni artyści nie mają w Wielkiej Brytanii łatwo. Możesz stawiać na głowie, a często i tak nie w tym biznesie nie zdołałaś. Z drugiej strony gdy szukałam wydawcy i dzwoniłam do rozmaitych wytwórni wyspecjalizowanych w czarnej muzyce, traktowano mnie, jakbym była nie dość czarna.

Skąd się w ogóle wzięłaś?

– Od początku? No więc pochodzę z południowego Londynu, miałam świetne dzieciństwo i tonęłam w prezentach. Uwielbiałam moją babcię, projektantkę mody – to od nazwy jej firmy Madame de Belle zaczerpnęłam połowę pseudonimu. A Speech to moja stara szkolna ksywka.

W szkole podobno nie było już tak wesoło.

– Byłam kilkanaście razy zawieszona za przeszkadzanie na lekcjach i złościwości. Żadne straszne rzeczy, po prostu gadałam jak najęta.

A kiedy miałaś 19 lat, zwałaś z domu.

– Pokłóciłam się z mamą i postanowiłam się wyprowadzić. Włóczyłam się przez kilka lat po motelach, miałam się różnych zajęć, to był trudny czas. Ale nie aż tak, jak przedstawia to brytyjska prasa. Nie spałam na ulicy i nie kradłam.

Na płycie jest też utwór „Daddy’s Little Girl”.

– Ojciec zostawił nas, gdy byłam jeszcze zbyt mała, by go pamiętać. Ta piosenka to mój list do niego. Wiesz, że przedwczoraj próbował się do mnie dodzwonić? Nie oddzwoniłam. Chyba nie mam ochoty z nim gadać.

Skąd w tym wszystkim wzięła się muzyka?

– Rapować zaczęłam jeszcze w szkole. Miałam jakieś 10 lat i natknęłam się

na muzykę 2Paca. On wywrócił mój świat. Potem zakochałam się w muzyce Michaela Jacksona, a w końcu odkryłam londyńską scenę hiphopową.

„Speech Therapy” naprawdę jest twoją terapią?

– Moją i twoją. Dopiero nagrywając pewne rzeczy, zdałam sobie sprawę z ich znaczenia i teraz inaczej na nie patrzę. Jest mi dużo łatwiej. Ale to też twoja terapia, bo prawda ma działać nie uzdrawiająco. A na tej płycie jest mnóstwo prawdy.

Gościem festiwalu Tauron Nowa Muzyka będzie też Roots Manuva. Zagrać razem „Wheels in Motion” jak na płycie?

– Roots też przyjeżdża? To świetna wiadomość! Zaraz do niego zadzwonię i będę go namawiać, żeby zajął do nas podczas koncertu! □

Speech Debele ma 25 lat, cięty język i nie boi się mówić ani o polityce, ani o nieobecny ojcu. Chociaż jest piekielnie utalentowana, a współpracowników dobiera trafniej niż przyjaciół (wśród tych pierwszych Roots Manuva i Micachu), to prace nad debiutem zajęły jej długie pięć lat. Speech jest raperką pełną gębą, ale woli nurzać się w akustycznych, jazzujących aranżach, niż topić w elektronicznych bitach. Skok w uwodzicielskie melodie i szlachetne unplugged nasuwa słuszne skojarzenia z The Cinematic Orchestra, które z podobnym patentem debiutowało 10 lat temu, również w barwach Ninja Tune. Jednak tak wyrafinowanego i beczelnego w swej intymności hip-hopu świat dotąd nie słyszał. – mh

Festiwal Tauron Nowa Muzyka
– 28–30 sierpnia,
Katowice, szczegóły:
www.festiwal-nowamuzyka.pl



Speech Debele
„Speech Therapy”,
Ninja Tune/Big Dada

Do usłyszenia

WYBRAŁ
BARTEK CHACIŃSKI

Trzymają tempo!

PEŁNO NOWEJ MUZYKI na Nowej Muzyce. Zgodnie z nazwą i konsekwentną linią rozwojową katowickiej imprezy, jednego z najciekawszych festiwali tego lata. **Dan Deacon** (1) na płycie to entajcja energii. Jego gesty i pulsująca rytmem muzyka brzmi, jakby grało kilku wykonawców naraz: twórca tanecznej muzyki klubowej, jajołowy klasyk współczesności (taki od minimalizmu i repetycji) i wreszcie postrzelony sowizdrzał z inteligentnego undergroundu. A na żywo Dan Deacon jest ponoć jeszcze lepszy. Na festiwalu Nowa Muzyka będzie można zobaczyć jeden z jego legendarnych występów, a nawet w nim uczestniczyć, bo co odważniejszych młody Amerykanin zaprasza do współpracy. Posłuchać **Jona Hopkinsa** (2) powinni z kolei wszyscy ci,

którzy na Nową Muzykę przyjadą prosto z koncertu Radiohead. To odprysk poszukiwań w europejskiej muzyce elektronicznej z końca lat 90., bardziej do słuchania niż do tańca. Z kolei fani Pivota chętnie zobaczą i posłuchają **Tima Exile’a** (3), który też nagrywa dla słynnej elektronicznej wytwórni Warp. Podobnie jak miłośnicy doprawionej elektroniką gotyckiej piosenki, którzy zajął też na koncert **Fever Ray** (4). A zobaczyć to mroczne widowisko warto – nawet jeśli album Karin Dreijer Andersson – na co dzień polowy duet The Knife – to chwilami tylko gorsza kłisza muzyki, jaką tworzyło się w latach 80. Nie można za to przeoczyć wykonawców kreujących brzmienia przyszłości, takich jak **Flying Lotus** czy **The Bug**. A ci też tu wystąpią. □



+++++
Dan Deacon
„Bromst”,
Carpark



+++++
Jon Hopkins
„Insides”,
Double Six/Isound



+++
Tim Exile
„Listening Tree”,
Warp



+++
Fever Ray
„Fever Ray”,
V2

FOT. ISOUND



Tak właśnie będzie się prezentować komplet historycznych dokumentów

Druka wojna światowa w 30 odsłonach – dla każdego coś ciekawego

31 sierpnia w kioskach pojawi się pierwszy tom nowej niezwykle interesującej kolekcji historycznej, która składa się z 30 części: od „Przygotowań do wojny” po „Bombę atomową”. Każdy odcinek cyklu to rozsądnie opowiedziana i słusznie zilustrowana 40-stronicowa książeczka dotycząca wybranego fragmentu konfliktu oraz płyta z trzema krótkimi filmami zmontowanymi z (kolorowanych) materiałów archiwalnych, często naprawdę cie-

kawych i nieczęsto widywanych. Filmy uzupełniają tekst, a czasem dotyczą wydarzeń w książeczce nieomawianych. Interesujące, że jeden z trzech filmów opowiada o technice wojskowej (wynalezienie radaru, historia sławnego myśliwca Spitfire i tak dalej), co powinno szczególnie zainteresować jej miłośników. Tom drugi kolekcji będzie w sprzedaży już 2 września, trzeci – 10 września, a następne – co tydzień w kolejne czwartki. Szczegółowe informacje – między innymi o prenumeracie – patrz www.kolekcjawojenna.pl. – ms



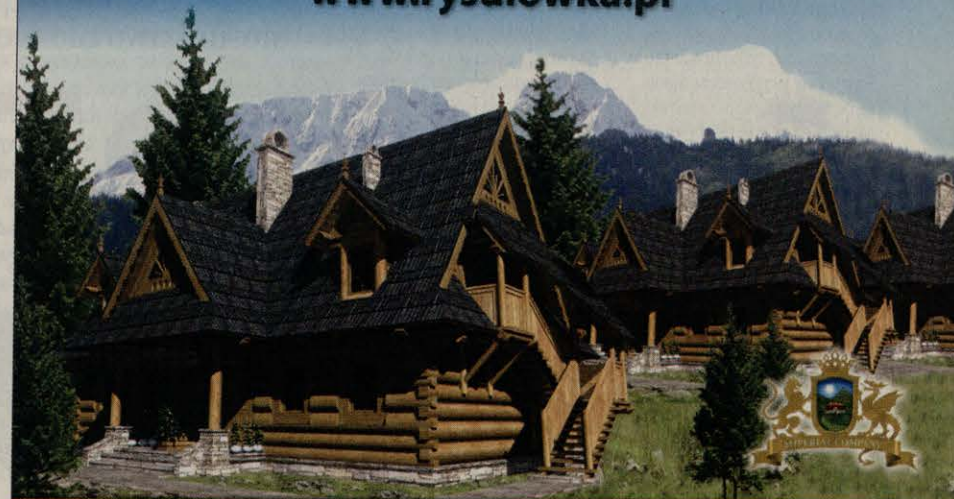
REKLAMA

APARTAMENTY NA SPRZEDAŻ

Ostatnie lokale!

Imperial Company

www.rysulowka.pl



0 790 89 89 89

1 września w Krakowie zagra World Orchestra for Peace pod batutą Walerija Giergiewa. Wybitni muzycy z 70 orkiestr z 40 krajów świata wykonają utwory Gustawa Mahlera i **Krzysztofa Pendereckiego**, który specjalnie na tę okazję skomponował „Preludium dla pokoju”. To dopiero 14. koncert orkiestry od jej powstania w 1995 roku, więc lepiej go nie przegapić. Jeśli zabraknie miejsc w kościele Świętych Piotra i Pawła, występ obejrzyjcie na telebimie na Rynku lub w TVP2. –js

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:
KRZYŻÓWKA O MIERNIKU
(ALE WIERNIK); ŁADNE RZECZY
O MIERNYCH W SZKOLE
(SZLACZKACH, NIE STOPNIACH),
A SZARY O MIERNYCH MUZEACH

KONKURS

Uwaga, konkurs! Czytaj „Przekrój” i wygraj! Kto jest znowu w bankietowym nastroju? Osoba, która jako pierwsza wysłała prawidłową odpowiedź na adres: rozrywka@przekroj.pl, otrzyma książkę Wiesława Waszkiewicza „MUCHA i DATERIA”. Odpowiedź z zeszytu tygodnia: firmy ubezpieczeniowe były zahipnotyzowane cenami mieszkań.

Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Z tyłu muzeum,
z przodu muzeum
(w środku, niestety, też)

KTO POWIEDZIAŁ, ŻE W WAKACJE należy tylko leniuchować? – Szary wyczuł w głosie małżonki bunt. – Przecież wakacje to też dobry czas, żeby się nie-
okulturalnić! Szarzy wybrali muzea. Naiwnie spodziewali się, że te, inaczej niż teatry czy kina, w sezonie turystycznym rozwijają pawie ogony, byle tylko przyciągnąć jak najwięcej gości. Muzeum Narodowe postawiło na idealną harmonię numerologiczną – poza weekendem czynne było przez trzy dni, a każdego z nich – przez trzy godziny. Nie myślecie jednak, że w tym czasie można bezkarnie buszować wśród gablot. Najpierw należało stworzyć grupę zorganizowaną, a potem się umówić z muzeum na wizytę. Na tym jednak nie koniec atrakcji – jeśli chcielibyście poznać przekrój narodowej kolekcji, winniście w środę zobaczyć co nieco antyków, dzień później – średniowieczne ołtarze, by piątek uwznioślić „Babim latem” Chełmońskiego. Muzeum Sztuki Nowoczesnej postanowiło odpoczywać cały miesiąc, co tylko utwierdziło Szarych w przypuszczeniach, że poza wystawami czasowymi MSN nie ma co pokazywać. Kiedy więc nadejdzie sądny dzień przeprowadzki do głośnego budynku Kereza, może się okazać, że zostaną tam przeniesione jedynie meble, pardon ekspozyty z domu meblowego Emilka, gdzie obecnie MSN znalazło schronienie.

prowadzono z użyciem tam-tamu, a w planetarium głos mówil o gwiazdach tonem tak znudzonym i metalicznym, że Szarej wypadła plomba. Zaliczywszy turę po, nie tylko stołecznych, muzeach Szarzy mogli się już uważać za ekspertów i udzielać znajomym rad:

1) większe placówki są tak niedostępne jak warszawskie parkingi Leclerca przed koncertem Madonny – aby otworzyć ich wrota, wcześniej poświęćcie na siłowni; 2) przed pierwszą wizytą idźcie też do alergologa, który odczuli was na chroniacą od mrozów, nieśmiertelną kotaro-lapaczkę kurzu; 3) zróbcie szczepienia ochronne, a te uczynią kontakt z muzealnymi toaletami zupełnie bezbolesnym (w królestwie muzeów gromada mopy oraz gatunek szmata wciąż nie mogły wybić się na niepodległość); 4) jeśli zamierzacie odwiedzić jakiś pałac, przygotujcie się na propolisowe kapie z filcu, więc koniecznie pobierzcie kilka lekcji lyżwiarstwa figurowego; 5) pamiętajcie, że w przeciwieństwie do muzeów zachodnich w naszych nie wolno: niczego dotykać, robić zdjęć, jeść i pić, nosić plecaków oraz rozmawiać. Według Szarych liczba zakazów ustanowiła w końcu prawdziwą hierarchię w świecie sztuki, gdzie o roztopy Fałata należało dbać bardziej niż o Giocondę.

– Wierzę, że idzie ku lepszemu – powiedziała Szara. – Dymisja Skrzypczaka przyspieszy zakup nowej broni i do Muzeum Wojska Polskiego przyjedzie trochę sprzętu z Afganistanu. W końcu będzie co oglądać.

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski

PRAKTYCZNE UŻYCIĘ UŁAMKÓW



Idźcie i śmiecie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Kozia 11

LEWO
MYŚLNIE

Jednym zdaniem Czyli o genialnym pomysle, który wymaga stosunkowo niewielkiego dofinansowania

ROMAN KURKIEWICZ

DROGA UNIO EUROPEJSKA!

Chciałem już do Ciebie napisać, ale się nie składało, dopiero teraz mam pomysł, bo chciałem być szczery, i nie chcę ukrywać, że myślę o dofinansowaniu przez Ciebie moich pomysłów, które są z jednej strony bardzo tutejsze, polskie, ale także bezsprzecznie równocześnie ogólnoeuropejskie, wręcz ogólnoludzkie, niemal globalne, choć nigdy akurat w Afryce czy na jakiejś Grenlandii nie byłem, więc i do końca nie wiem, czy tam też by się nadały, ale może może wiedzieć, może zresztą nikt nie wie, nawet Ty, Droga Unio Europejska, która jednakowoż dofinansowujesz różnorodne spr-



ADNE
RZECZY!

Wypisz, wymaluj
zeszyt – kredkami
jak czekoladki. Poniżej:
Długopis jak szminka.
Wygodny do szybkich
notatek, byle nie na lustrze!



Oto sposób
na uspienie
czujności
nauczycieli i bezkarną
drzemkę: naklejka
na powiekę przekona
wszystkich, że
pracujesz niezwykle
wytrwale i bez
zmrużenia oka.

Witaj, szkoło!

Pierwszy dzwonek to ostatni
dzwonek, by spakować tornister

FANTAZJA DOROSŁYCH W UPZYRKZANIU dzieciom z założenia nudnego obowiązku szkolnego jest powalająca. Pamiętacie tarcze przyczepiane do nylonowych fartuszków oraz horror horrorów, czyli szlaczki? Konieczność rysowania po każdej lekcji kolorowych fal oraz prowadzenia schlud-

nego zeszytu zawsze doprowadzała mnie do rozpacz. Tęgo obowiązku nie dało się ani uniknąć, ani obejść, a pani od polskiego rzadko przymykała oko* na brak szlaczek. Dopiero z wiekiem doceniłam tę formę. Bo czasem rzeczywiście najważniejsza jest umiejętność podkreślenia końca jakiegogo etapu.

Kilkanaście
kolorów,
prosta forma
– megalugopis
MUJI (z prawej)



MYŚLNIE

Ciemnota
nie lubi
pozostawać
w cieniu.

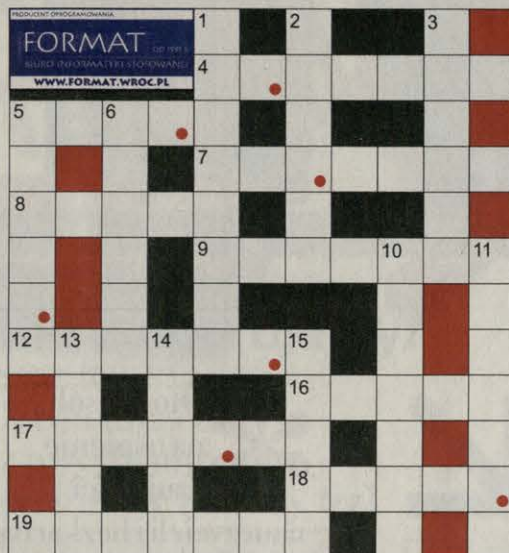
Krzysztof
Bilica

wy i idee, i ludzi, i ich pomysły, i dlatego by nie spróbować, jeśli tyłu próbuje i wygrywa, chociaż przecież wiem, że nie każdy wygrywa, kto gra, ale z grą jest tak, że żeby wygrać, trzeba grać, bo kto nie kupuje losu, nigdy nie zostanie murarzem z Toskanii, który już chyba do Ciebie, Droga Unio Europejska, nie będzie pisał, bo wygrał 147 milionów euro, to mu chyba wystarczy, ale ja nie jestem nim, nie grałem po prostu, bo to było za daleko, więc nawet nie pojechałem, nigdy nie byłem tak daleko od domu, dom jest moją mocą, moją siłą, moim schronieniem i wszystkim, co myślę tutaj, na miejscu, czasami nieopodal, tak samo zresztą było z moimi pomysłami pokry-

cia Polski, Europy i świata siecią muzeów, które będą inne niż te, które są, chciałbym, żeby tam było i coś z historii, i ze współczesności, i z przyszłości, choć wiem, że muzeum z przyszłości to raczej nie jest możliwe, czy wręcz sprzeczne, ale jednak ta myśl mnie nie opuszczała i chciałem się nią z Tobą, Droga Unio Europejska, podzielić, żebyś Ty pomyślała, czy ja dobrze myślę, a wtedy może się uda, gdyż wtedy udać się może, coś, żeby tak jednak się stało, muszą być spełnione różne warunki, które ja z kolei chętnie spełnię, jeśli tylko będę wiedział, jakie one są, ale tu chyba mogę liczyć na Twoją, Droga Unio Europejska, pomoc, bo bez niej to już nie wiem

sam, jak bym miał te muzea ruszyć, skąd wsparcie i kapitał, kiedy myślę na przykład o muzeach takich, jak choćby Muzeum Dawnych Milicyjnych Kogutów na Dachach czy Muzeum Słabych Nicków, Muzeum Czerstwego Pieczywa albo Urwanych Kabli od Telefonów w Budkach czy też Nienapisanych Ustaw, Niepomyślanych Kolorów, wszystko to są konkrety, które mogę spręczyć, żeby nie być gołosłownym, albo Muzeum Niegodziwych Niewiarygodności, Łańcuchów za Krótkich dla Psów Wiejskich, Zerwanych Sznurów Okrętowych, którymi można naprawdę ozdobić niejedno pomieszczenie albo lokal, w ogóle Muzeum Gastronomii byłoby na-

prawdę czymś, co każdy by chętnie powąchał albo i nadgryzł, właśnie to jest ważne, żeby także wtedy, jeśli to jest niematerialne, żeby miało coś takiego do namierzenia, w takiej chwili muszę wspomnieć o Muzeum Miar albo Urządzeń Służących nie tyle Ruchowi, ile Spoczynkowi, niechby tam były i leżaki, i materace, i hamulce, i podobne osiągnięcia, które już Leonardo projektował albo prawie zamierzył, wtedy to byłoby naprawdę wydarzenie, które zachęci do zwiedzania i nikogo nie zniechęci. No i potrzebuję na to dwa miliony euro w używanych banknotach dziesięcioeuroowych, popakowanych po sto, w walizce. Droga Unio Europejska!



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwinięcie.

POZIOMO:

4. SZMAT
5. PALIKNOT
7. ALE WIERNIK
8. CH NA POZĄTKU
9. UKŁAD POKOJÓW
12. SZUKMISTRZ
16. OKO PROROKA
17. ZNOWU W ŻYCIU MU
18. NIE WYSZŁO SIĘ
19. BRZYDKI, ALE SMACZNY

PIONOWO:

1. ZADZWONIMY DO PANA
2. PO MOIM TRUPIE
3. DUŃSKIE MIĘSO
5. PAMIĄTKA PO SRADZIADKU
6. ZDANIE WIELOKROTNIE ZŁOŻONE
10. NIEDZIELA W MOSKWIE
11. JEZIORAK
13. ŁADNY WYRAZ TWARZY
14. OD UCHA DO UCHA
15. WYRAZ ODDANIA

Sponsorem nagród jest FORMAT – producent nowoczesnego oprogramowania edukacyjnego www.akademia-umyslu.edu.pl



AUTOR: JERZY BUCZEK

JOLKA NR 34

WYRAZY 8-LITEROWE:

- ROZSTAJE TCHU
- NA WYBRANEGO
- DOBRY NAPAWACZ
- DUŻO EFEKTYWNIJSZY OD ŚLEPEJ KURY • JESZCZE BRZMIĄ W USZACH ZBYTYCH
- CELOM LŻEJ
- UWSTĄŻKOWANE ODDZIAŁY RÓŻ • GDZIE PAN BÓG ODCOZYWA OD NOSZENIA KUL

WYRAZY 7-LITEROWE:

- OTACZA LUDZI NA STANOWISKACH • NIE PISZ SIĘ Z TAKĄ NA NOC POŚLUBNĄ

WYRAZY 6-LITEROWE:

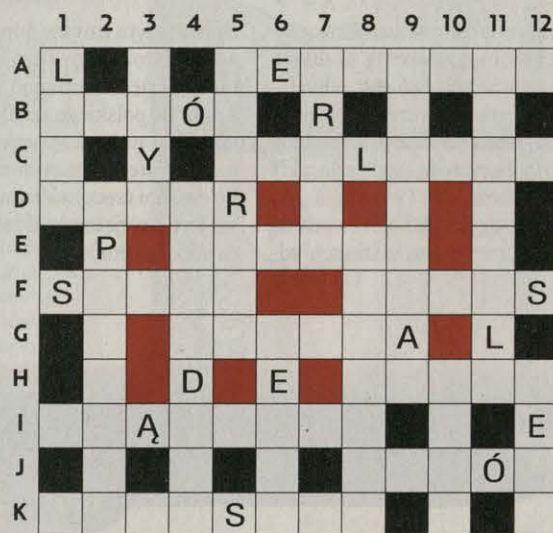
- CAŁA WE WZORACH
- ROZRYWKA POMARŁYCH LITWINÓW

WYRAZY 5-LITEROWE:

- TYTAŃ SAMOCHODOWY POLSKI
- NATURALNIE TY I JA
- ZIMNY PRYSZNIC DLA PRYMUSA
- SPOTKA W ŁOŻY
- PUNKT DLA DYDZIA MARZYCIELA
- KOJARZ W KOLAŻ
- W STOPCE CHATKI
- BO RYBOSTAN BYŁ NAD PLAN

WYRAZY 4-LITEROWE:

- ROZŁĄKA Z ERGONOMIA
- WAŻNA CHWILA W PILE
- ŚWIATŁO DO NIEGO
- NIE WPADA TAK ŁATWO JAK LOTR • ZATRUDNIA KAMIEŃ



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

E11_B9_C6_K1_G8_E6_I5_D7_D9_A11_G7_J10_B1_F10_F3_/_

A9_D11_B5_I10_K12_D4_A3_J6_F5_E8_J2_C10_K10_K3_A8_I1_C5_B3_G2_/_

Uwaga! Jolkę nr 34 i krzyżówkę nr 34 możesz też wydrukować ze strony WWW.PRZEKROJ.PL

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



Idźcie i śmiecie się! Wystawa rysunków Marka Raczkowskiego w Muzeum Karykatury w Warszawie, ul. Kozia 11



KUBA DĄBROWSKI

Komedowie

Najbardziej romantyczne zdjęcie w historii polskiego jazzu: Krzysztof Komeda i jego żona. Zofia Trzcńska zmarła 20 sierpnia

ROK 19. WOJCIECH PLEWIŃSKI PRACUJE DLA „PRZEKROJU”. W REDAKCJI JEST, JAK SAM TO UJMUJE, „panienką od wszystkiego, a głównie od okładek z panienkami”. Poza cotygodniowym fotografowaniem „kociaków” robi reportaże i portretuje postaci kultury. W ogóle z kulturą i sztuką jest za pan brat. Studiował rzeźbę na ASP, a jego ówczesna żona Joanna śpiewała w Piwnicy pod Baranami.

Co roku zimą, w szczycie sezonu narciarskiego, ekipa Piwnicy i grupa zaprzyjaźnionych z nią jazzmanów przenosi się do Zakopanego. – Wiara przez cały rok dziadowała. Zakopane było wyjazdem na przeżycie. Awangardowi muzycy grali łatwe standardy dla turystów, przez dwa tygodnie bawili się i zarabiali na kilka miesięcy skromnego utrzymania – wspomina Plewiński. Sam jeździł tam jako osoba towarzysząca. – Byłem mężem swojej żony – mówi.

Wojciech Plewiński
– mimo że artysta – zawsze promował zdrowy styl życia.

Zamiast pić wódkę, biegat, nurkował, żeglował i gimnastykował się. Robi to do dziś. Na zdjęciu z 1970 roku prezentuje asanę paw

wi. – Oczywiście brałem ze sobą aparat i szukałem tematów dla redakcji, żeby wyjazd się zwrócił, ale nie to było priorytetem. Raczej narty. Joanna trenowała zawodniczo, ja też radziłem sobie nie najgorzej.

Muzycy kwaterowani są w należących do miasta willach z parcelami urzędniczymi. Plewiński dostają pokój ze świeżo poślubionymi Krzysztofem i Zofią Komeda. – Jazzmani, kiedy nie mieli prób, wymieniali się instrumentami i grali w swoich pokojach. Była taka ambicja, żeby opanować kilka instrumentów – tłumaczy Plewiński. – Komeda, na co dzień pianista, brał saksofon od bodajże „Ptaszyzna” Wróblewskiego i rano, jeszcze w piżamie, ćwiczył gamy i różne rwane fragmenty utworów. Zawsze budził nas tym graniem. Zosie chyba też, ale była dla niego wyrozumiała. On grał, ona leżała w pościeli. Wyglądali pięknie. Pewnego dnia po prostu sięgnąłem po stojący na szafce nocnej aparat i zrobiłem im zdjęcie. Z tego, co pamiętam, nie podniosłem się nawet z łóżka.



DIGITAL
IXUS



IXUS 100 IS

Kreuj zdjęcia.
Twórz historie.



NISSAN X-TRAIL OD **96 200 zł**



NISSAN PATHFINDER OD **141 000 zł**



Przetestuj inteligencję modeli Nissan 4x4 Platinum w salonach Nissan!

INFOLINIA: 0 801 647 726

www.nissan.pl

Zdjęcia są jedynie ilustracją i przedstawiają modele w wersji Platinum. Podane ceny odnoszą się do modeli w wersji podstawowej i nie obejmują wersji N1. Możliwość odliczenia VAT dotyczy przedsiębiorców. Dane i fakty podane w niniejszej reklamie służą wyłącznie celom informacyjnym i nie stanowią oferty zawarcia umowy. Oferta jest ważna dla umów podpisanych z Klientami w okresie od dnia 24/08/09 do dnia 30/09/09. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów oraz ich przydatności w tym zakresie dostępne są na stronie internetowej www.nissan.pl. Zużycie paliwa w cyklu nieszanym X-Trail: 7,1-8,7 l/100 km; Pathfinder: 9,8-10,2 l/100 km. Emisja CO₂: X-Trail: 190-216 g/km, Pathfinder: 264-276 g/km.



SHIFT the way you move